

Posiedzenie WKO w Nowym Sączu

Postęp w gospodarce

Pożegnanie grupy oficerów LWP

(Inf. wł.) Wczoraj w Nowym Sączu obradował Wojewódzki Komitet Obrony. Przewodniczący WKO, wojewoda nowosądecki **Antoni Rączka** scharakteryzował sytuację społeczno-polityczną w województwie w ciągu 585 dni stanu wojennego. Z upływem czasu ciężar pracy WKO przesuwał się na sferę spraw gospodarczych.

Wprawdzie w województwie nie notowano przypadków poważniejszych naruszeń obywatelskich, jednak w trosce o poprawę klimatu społecznego podejmowano wiele decyzji, mających na celu ograniczenie przejawów patologii społecznej. Te działania spotykały się z poparciem zdecydowanej większości społeczeństwa. Przeważała postawa prawna i reguli współżycia społecznego. Załogi zakładów pracy, podburzane do wystąpień politycznych, nie dały się sprowokować. Godnie zachowywały się wiesz, rozpronie młodzież.

Zwycięstwo zdrowego rozsądku miało spory wpływ na sytuację gospodarczą w regionie.

Poprawiła się dyscyplina pracy. Postęp, trwała normalizacja życia, to proces ciągły, dlatego to wszystko, co korzystnie wpływa na procesy społeczne i gospodarcze należy promować z takim samym nałożeniem, jak w czasie obywatelskiego stanu wojennego. Z drugiej strony nie można osłabiać walki ze spekulacją, pasywnością społeczną, marnotrawstwem i niegospodarnością. Słowa wysokiego uznania skierowano do odchodzących oficerów LWP, którzy wspomagali aktywnie polityczny i administracyjny województwa. Do słów pochwały dołączono specjalne adresy WKO z

podziękowaniem i zaproszeniem do odwiedzenia województwa w innym już charakterze. „Nauczyciele wielu ludzi porządku i poszanowania mienia” — stwierdził A. Rączka.

Główny ciężar odpowiedzialności w tych trudnych chwilach wzięła na siebie partia. Na wysokości zadania stanęły wszystkie organizacje partyjne, wspomagały je stronnictwa polityczne, dobrze swoją misję spełniały ogniwa PROM.

O rozległej działalności kontrolnej wspomnieli pełnomocnik KOK, komisarz wojskowy **plk Stefan Michałek**. Wojewódzka, a w pierwszym wyroku operacyjno-kontrolne przeprowadziły 4.893 wizytacji, 922 powtórne kontrole, osiągając zamierzony cel, jakim było umocnienie ładu, porządku i dyscypliny społecznej. Wojskowi przyjeźli 13.987 obywateli.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)



Przygotowania w daleki rejs?

Fot. — CAF

Informacja Głównego Urzędu Statystycznego

Lipiec 1983 r. lepszy od lipca 1982 roku

W lipcu br., sytuację gospodarczą kraju charakteryzowały następujące zjawiska:

• wyższa niż w lipcu ub. roku była produkcja i wydajność pracy w przedsiębiorstwach przemysłowych i budowlano-montażowych,

• korzystny był przebieg prac żniwnych, wyższy niż w ub. roku był skup zbóż,

• mniejsza była liczba mieszkań oddanych do użytku niż w lipcu ub. roku, natomiast zaawansowanie wykonania zadań Centralnego Planu Roczego w zakresie uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego po siedmiu miesiącach było wyższe niż w ub. roku,

• nastąpił dalszy wzrost obrotów handlu zagranicznego, w obrotach z krajami socjalistycznymi powiększyła się nadwyżka importu nad eksportem, jednocześnie wzrosło

dotąd saldo obrotów z krajami kapitalistycznymi,

• dostawy żywności zapewniały ciągłość sprzedaży towarów objętych reglamentacją, a także towarów, na które reglamentacja została zniesiona lub zawieszona, nastąpił wzrost sprzedaży towarów nieżywnościowych oraz spadł sprzedaż napojów alkoholowych.

Produkcja sprzedana przemysłu uspołecznionego w cenach stałych w lipcu br. była o 5,4 proc. wyższa, aniżeli w lipcu ub. roku, przy czym produkcja przemysłu wydobywczego wzrosła o 0,2 proc., a przemysłu przetwórczego o 5,9 proc.

Wydajność pracy mierzona produkcją sprzedaną na 1 zatrudnionego w przemyśle uspołecznionym w lipcu br. była o 6,7 proc. wyższa, aniżeli w lipcu ub. roku. W okresie styczeń-lipiec br., w porównaniu z tym samym okresem ub. roku wydajność pracy była wyższa o 9,7 proc.

Ciepła i na ogół bezdeszczowa pogoda stworzyła w rolnictwie korzystne warunki dla przeprowadzenia prac żniwnych. Jednocześnie brak opadów i susza glebowa wpływały, w niektórych rejonach kraju, niekorzystnie na wegetację roślin okopowych i warzyw oraz na odrost traw na łąkach i pastwiskach.

Wolnorynkowe ceny zbóż w lipcu br. utrzymywały się na poziomie z maja i z czerwca br. Ceny wczesnych ziemniaków były o ok. 20 proc. niższe od cen notowanych w lipcu ub. roku.

Skup żywa rzeźnego w przeliczeniu na mięso wyniósł 179,3 tys. ton i był o 35,7 proc. wyższy od skupu dokonanego w lipcu ub. roku.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

REAGAN CHCIAŁBY ODWIEDZIĆ CHINY

WASZYNGTON (PAP). Rzecznik Białego Domu, **Larry Speakes** potwierdził, że prezydent **Reagan** chciałby odwiedzić Chiny przed zakończeniem obecnej kadencji na stanowisku szefa państwa w styczniu 1985, ale nie przewiduje wizyty w Pekinie podczas najbliższej podróży po kontynencie azjatyckim w listopadzie br. **Speakes** powiedział, że nie podjęto kroków z myślą o dorzuceniu etapu chińskiego do tej podróży, w której ramach **Reagan** złoży wizytę w Japonii, na Filipinach, w Tajlandii, Indonezji i Korei Półd.

WOJNA W CZADZIE

WASZYNGTON, PARYŻ, TRYPOLIS (PAP). Z nieoficjalnych informacji podawanych 12 bm., wynika że oddziały Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Czadu zablokowały wojskom **Hissena Habre** odwrót w kierunku stolicy. Zajęły one strategiczne miejscowości **Oum Chalouba** i **Koro-Toro**, o których w ostatnich dwóch dniach podawano sprzeczne informacje, z których można wnioskować, że kilkakrotnie przechodziły one z rąk do rąk.

Władze **N'Djameny**, które w ub. tygodniu wprowadziły cenzurę, ograniczyły jeszcze bardziej informacje o sytuacji militarnej i dostawach sprzętu wojskowego, co spowodowało zapewne, że w piątek w doniesieniach zachodnich zapanowało na ten temat całkowite milczenie.

W informacji przekazanej z Waszyngtonu, agencja **France Presse** pisała, iż 12 bm. można było odnieść wrażenie, że po zajęciu **Faya Largeau** przez oddziały Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Czadu, **USA** nalegały, aby **Francia** ostatecznie zdecydowała się na interwencję lotniczą francuskiego w obronie **Hissena Habre**, z czym **Paryż** dotychczas zwleka.

Reagan oświadczył m. in., że „nie powstała w Czadzie sytuacja, w której niezbędna byłaby bezpośrednia interwencja wojsk amerykańskich”, ale dodał że **Czad** znajduje się „we francuskiej sferze wpływów”. **Reagan**, który ponownie w ostrych słowach zaatakował **Libię**, uchylił się od odpowiedzi na pytanie, czy „**Francuzi** uczynili dostatecznie dużo dla ochrony Czadu”.

EKSPLOZJA BOMBY W LOURDES

PARYŻ (PAP). W piątek o godzinie 2.37 nad ranem przy pierwszej stacji drogi krzyżowej, w odległości kilkuset metrów od bazyliki w Lourdes, nastąpiła eksplozja potężnego ładunku wybuchowego. Odkamień zniszczonego posągu **Piłata** zostały rozrzucone w promieniu do 200 metrów. Władcy pół tony posąg uległ doszczętnemu zniszczeniu, ostatek się tylko kocił.

Na szczęście eksplozja, do której nie przyczyniła się dotąd żadne ugrupowanie terrorystyczne, nie spowodowała ofiar w ludziach.

Zatłoczone już od przybyłych pielgrzymów i turystów na wizytę papieża i poniedziałkowe święto **Wniebowzięcia Lourdes**, obudziło się w piątek w stanie szoku. Policja na razie nie chce jeszcze mówić o „zamachu”.

Rektor sanktuarium w Lourdes, **ojciec Bordes**, oświadczył, iż miejsce, gdzie nastąpił wybuch, nie znajdowało się pod specjalną ochroną, a do jego biura nie wpłynęły w ostatnich dniach żadne pogrozki.

WARSZAWA (PAP). Biuro Prasowe Rządu informuje: Rada Ministrów przyjęła plan działań rządu na II półrocze 1983 r. Precyzuje on zamierzenia, określa terminy oraz osoby odpowiedzialne za ich wykonanie. Kierunki prac rządu i koniecznych regulacji w najbliższej przyszłości wyznacza aktualna sytuacja społeczno-polityczna i gospodarcza kraju.

Podstawowym zadaniem rządu jest rozwiązywanie problemów gospodarczych. Przewidziano dwukrotnie, w sierpniu i październiku br., rozpatrzenie przez rząd przebiegu realizacji Centralnego Planu Roczego na 1983 r., z równoczesną oceną realizacji programów operacyjnych. Również dwukrotnie rząd oceni stan wykonywania rządowych programów oszczędnościowego i antyinflacyjnego.

Do zebrania niezbędnych informacji zobowiązano przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i kierownika Urzędu Gospodarki Materiałowej. Natomiast minister-pełnomocnik rządu ds. reformy gospodarczej został zobowiązany do opracowania raportu o stanie wdrażania do praktyki zasad reformy gospodarczej, z uwzględnieniem ich oddziaływania na realizację celów wytyczonych w Narodowym

Plan działania rządu na II półrocze 1983 r.

Planie Społeczno-Gospodarczym na lata 1983—1985. Rząd rozpatrzy ten raport i przyjmie wytyczne zeń wniesione w październiku br.

Rada Ministrów przeanalizuje umowy o utworzeniu zrzeszeń przedsiębiorstw państwowych, pod względem ich zgodności z zasadami reformy gospodarczej. W październiku sprecyzowany zostanie status dyrektora przedsiębiorstwa państwowego.

Rada Ministrów oceni również postęp prac nad przebudową struktur organizacyjnych, podziału kompetencji i odpowiedzialności na różnych szczeblach kierowania z punktu widzenia ich wpływu na efektywność funkcjonowania zreformowanej gospodarki. Do przygotowania odpowiedniej informacji zobowiązano ministra-pełnomocnika rządu ds. reformy gospodarczej.

W grupie problemów gospodarczych, którymi rząd

Jak pracował tarnowski przemysł?

(Inf. wł.) Wczoraj w Dębickich Zakładach Opon Samochodowych „Stomil” obradowała tarnowska „piętnastka”. Obradom przewodniczył sekretarz KW PZPR w Tarnowie **Władysław Plewniak**, a wydziałów w FSE „Tamel”, sekretarzy KZ PZPR, dyrektorów piętnastu największych tarnowskich zakładów przemysłowych, również I sekretarza KM i KMG PZPR.

Sekretarz KW PZPR **Jerzy Sobiecki** podał analizę wyników pracy zakładów woj. tarnowskiego za 7 miesięcy br. i nakreślił zadania do końca br. Wspomniany okres charakteryzuje się dynamiką wzrostu produkcji sprzedanej wyższą o 14,2 proc., w porównaniu do analogicznego okresu roku ubiegłego. Spośród największych zakładów największy spadek produkcji wystąpił w Zakładach Mechanicznych w Tarnowie — o 7,3 proc.

Analiza lipca br. wykazała załamanie się produkcji w woj.

tarnowskim w stosunku do czerwca br. o 12 proc. jednak w porównaniu do lipca ub. r. lipiec tegoroczny miał dynamikę wyższą o 4,2 proc. Przy czym spadku jest nasilenie się urlopów, a także postój w wydziałach w FSE „Tamel”, DZOS „Stomil” i WUCH w Dębicy z racji zaplanowanych remontów, braki surowców, które najsilniej dotknęły fabrykę Farb i Lakierów oraz Zakłady Azotowe.

Zarejestrowano 143 zwłazki zawodowe. Ponadto działa 130 grup i komitetów założycielskich. Liczba zwłazekwósł się już 24 tys. Trwa więc — choć powolny — proces odradzania się ruchu zwłazkowego.

Na 55 przedsiębiorstwach państwowych w woj. tarnowskim, w 8 nie ma jeszcze samorządów pracowników, w tym w Zakładach Mechanicznych w Tarnowie.

Następnie szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, **plk Edward Kubrak**

omówił sytuację w województwie i w kraju w zakresie bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego. Natomiast wice-wojewoda tarnowski, **Zenon Musiał**, przedstawił problemy zatrudnienia w przemyśle i gospodarce, zaopatrzenia miast w wodę, sytuację paliwową oraz sprawy zaopatrzenia ludności w mięso i jego przetwory.

Uczestniczący w obradach kierownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR **Stanisław Gębala** przedstawił zadania gospodarce po zniesieniu stanu wojennego, m. in. nakreślił przez Biuro Polityczne KC PZPR. „Nie zamierzamy zmniejszać tempa wdrażania reformy gospodarczej” — stwierdził w zakończeniu.

Obrady zakończyły się miłym akcentem. Dyrektor DZOS „Stomil” w Dębicy, **Andrzej Tarnowski** złożył na ręce pełnomocnika KOK na woj. tarnowskie, **plk. dypl. inż. Adama Szegidewicza**, podziękowania.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Centrum Telekomunikacji w Tarnowie pod koniec 1985 r.?

(Inf. wł.) Budowa Wojewódzkiego Centrum Telekomunikacji trwa od lipca 1978 r., ostatnio postęp prac jest znaczny. Właśnie problemem związanym z budową jest jakże potrzebny Tarnowski inwestycji poświęcona była wczorajsza narada Społecznej Rady Budowy Centrum Telekomunikacji, której przewodniczył sekretarz KW PZPR w Tarnowie, **Jerzy Sobiecki**. W obradach wzięli udział m. in. kierownik Wydziału Ekonomicznego KC PZPR, **Stanisław Gębala**, wiceminister łączności **Władysław Gurgul**, wicewojewoda tarnowski, **Zenon Musiał** i dyrektor WUT w Tarnowie **Maciej Czaja**.

Budynki głównego Centrum Telekomunikacji znajdują się w tzw. stanie surowym. Nie wykonano jeszcze ścianek działowych w dwóch ostatnich kondygnacjach. Kontynuowane są roboty przy budowie szybów dźwigów to-

warowo-osobowych. Zdzaniem dyrektora „Chemobudowy” — generalnego wykonawcy inwestycji — **Jerzego Kaliskiego**, większy postęp prac utrudniają problemy materiałowe. Brak jest cegły. „Instal” dokonał już montażu kotłów c.o. wraz z wykonaniem pionów centralnego ogrzewania. „Elektromontaż”, który ma zakładać instalacje wewnętrzne, uskarża się na brak pełnej dokumentacji, choć ta została wykonawcą wysłana. Brak przewodów i 6 km kabla elektrycznego. Potrzeba ok. 3200 grzejników, otrzymałoby dotychczas 1300.

Nie rozpoczęto jeszcze budowy budynku administracyjno-mieszkalniowego, jest to opóźnienie w stosunku do harmonogramu. Nie rozpoczęto też prac, związanych z właściwym pokryciem konstrukcji dachu.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Ujawniło się kolejnych 12 osób

WARSZAWA (PAP). Ujawniła się kolejna osoba, która w okresie stanu wojennego lub po jego zawieszeniu, dopuściła się przestępstw z powodów politycznych. U podstaw decyzji ujawniających się osób — jak wynika to z większości wypowiedzi — leżała nie tylko chęć skorzystania z dobrodziejstwa amnestii, która daje szansę powrotu do normalnego życia, ale także przekonanie o bezsensowności kontynuowania dotychczasowej działalności w warunkach widocznej, postępującej stabilizacji życia w kraju.

W ostatnich dniach decyzje takie podjęło dalszych 12 osób. M. in. w Suwałkach u-

jawniło się poszukiwany listem gończym **Lech Biegalski**, przewodniczący b. zarządu regionu NSZZ „Solidarność” **Pojezdero**. Po wprowadzeniu stanu wojennego podjął działalność w podziemiu, pełniąc funkcje przewodniczącego tzw. regionalnej komisji koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”.

W Lublinie do organów ścigania zgłosił się przewodniczący b. zarządu regionu środkowowschodniego NSZZ „Solidarność” **Jan Bartczak**, który kolportował nielegalne wydawnictwa oraz brał udział w opracowaniu programu działania nielegalnych struktur b. NSZZ „Solidarność”.

W Legnicy ujawniła się osoba współdziałająca w produkcji i kolportażu nielegalnych wydawnictw oraz w nadawaniu nielegalnych audycji tzw. radia „Solidarność”.

W Warszawie ujawniły się dwie osoby, które działały w podziemnych strukturach NSZZ „Solidarność” kolportując nielegalne wydawnictwa. Jedną z tych osób, poszukiwaną listem gończym, ponadto rozlała cuchnącą substancję na widowni teatru „Syrena” w Warszawie.

W Płocku ujawniły się 2 osoby, które kolportowały nielegalne wydawnictwa.

W 1939 r. mieliśmy jeden z najlepszych

pistoletów maszynowych

„Mors” wzbogacił zbiory Muzeum Wojska Polskiego

WARSZAWA (PAP). W tych dniach, po ponad dwudziestoletnich poszukiwaniach przez Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, uzyskało ono polski pistolet maszynowy typu „Mors” wzór 39. Nowy nabytek, wartościowy okaz wojskowej myśli technicznej z okresu międzywojennego, jest jednym oryginalnym egzemplarzem tego typu broni w polskich zbiorach muzealnych.

Konstruktorami „Morsa” byli inżynierowie **Piotr Wilniewicz** i **Jan Skrzypinski**. Broń opatentowaną w lutym 1939 r. Opinie ekspertów stawiały „Morsa” w rzędzie najlepszych pistoletów maszynowych tego okresu. Pistolet ten charakteryzował się następującymi parametrami: ciężar bez magazynka — 4 kg, szybkostrzelność — 250—350 strzałów na minutę, szybkość wylotu — 400 m/sek, kaliber

— 9 mm. Broń ta była przystosowana do naboju „Visa”. Pojemność magazynka — 25 naboju.

W maju 1939 r. właścicielem patentu stały się Państwowe Zakłady Uzbrojenia i Pistolet „Mors” skierowano do produkcji. Do września 1939 r. w Warszawskiej Fabryce Karabinów wyprodukowano prawdopodobnie 60 egzemplarzy pistoletu, lecz dotychczas w kraju żadnego z nich nie odnaleziono. Bezowocownie poszukiwań skłoniła Muzeum WP do podjęcia starań za granicą; o pomoc zwrócono się m. in. do Centralnego Muzeum Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie. Jak się okazało, w zbiorach tego muzeum znajdowały się dwa egzemplarze „Morsa”. Jeden z nich udestynowany został w ramach przyjacielskiej współpracy obu państw, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Skrócenie remontu wielkiego pieca w Hucie im. Lenina

Jak poinformowała dyrekcja Krakowskiego Kombinat Metalurgicznego im. Lenina — prowadzony obecnie remont kapitalny wielkiego pieca nr 5 skrócony zostanie przez brygadę nowohuciowską Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego z 90 do 75 dni. Planowany rozruch technologiczny pieca, rozpocznie się 21 września. Wcześniej o 15 dni zakończone prace remontowych przy największym tego typu urządzeniu w krakowskiej hucie, pozwoli na dodatkową produkcję ok. 60 tysięcy ton surowki.

Prace przy wielkim piecu obejmują m.in. wymianę pancernia, wymurówki, trzonu pieca, płyt węglowych, płyt chłodniczych oraz ciągów, którymi dostarczane są niezbędne przy wytopie surowki media technologiczne.

„Stefan Batory” popłynął do Montrealu

WARSZAWA (PAP). W kolejny rejs do Montrealu udał się z Gdyni transatlantyk „Stefan Batory”. Statek zabrał 310 pasażerów, a dalszych 480 wsiadzie w Rotterdamie i Londynie. „Stefan Batory” cieszy się nadal nie słabnącym powodzeniem i posiada najwyższy stopień wykorzystania miejsc pasażerskich na szlaku północnoatlantyckim. Sprzedane zostały wszystkie bilety na rejs powrotny statku, który zakończy się w Gdyni 8 września. O popularności naszego transatlantyka świadczy również fakt dużego zainteresowania planowanymi na przełom roku rejsami wycieczkowymi — świątecznym i noworocznym — na Wyspy Kanaryjskie i Morze Karaibskie. Dodajmy jeszcze, że w br. po zakończeniu rejsów liniowych przez Atlantyk, „Stefan Batory” odbędzie kilka czterodniowych wycieczek po Bałtyku.

Ogłoszenie ustaw podatkowych

WARSZAWA (PAP). W Dzienniku Ustaw PRL nr 42, który ukazał się z datą 29 lipca br. zamieszczone zostały teksty ustaw o podatku obrotowym, dochodowym i wyrównawczym. Dziennik przynosi również rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie podatku wyrównawczego i ministra finansów w sprawie wykonania przepisów o podatku wyrównawczym. Tym samym spośród pakietu czterech ustaw podatkowych, jakie uchwalili Sejm na swym ostatnim posiedzeniu — trzy zostały już opublikowane. Na publikację czeka ustawa o podatku od spadku i darowizn.

ŻYWOŹY KRÓLÓW

FELIKS KIRYK

„Umierał jako ofiara nicozemności niegodnych sług, którym nadmiernie zaufał, ale stępną ręką niejako oddawał sztandar z ukoronowanym Orłem Białym w szczęśliwszą rękę Przemysławu II”

R. Gródecki, Dzieje polityczne Śląska, s. 325.

Był synem Henryka III Białego, księcia wrocławskiego, wnukiem Henryka Pobożnego, a prawnukiem Henryka Brodatego. Matką jego była Judyta, córka Konrada Mazowieckiego, wdowa po Mieszku II Otyłym, księciu opolskim. Datę roczną urodzenia Probusa ustalono na 1257 lub 1258 r. Dziedziczył rodowe imię książąt wrocławskich z czego widać, że był najstarszym z synów Henryka III. Przódomek Probus czyli Prawy został mu nadany przez ludzi jego wieku. Bywał nazywany również Szczodrym, ale przemianek ten, a także inne używane rzadziej, nie przyjęły się. Starszą siostrą Henryka była Jadwiga, później żona Henryka landgrafta tyruńskiego, która przeżyła swojego brata. Ich siostry i bracia zmarli w młodym wieku i nie są znani nawet z imienia.

Do śmierci ojca, Henryka III, w końcu 1266 r. wychowywał się na dworze wrocławskim, gdzie panował jeszcze i język, i obyczaj polski. Ponieważ stracił matkę rychło po swoim przyjściu na świat, a w wieku siedmiu lat osierocił zupełnie, był skazany na opiekę ze

strony henrychów braci i siostr swojego ojca. Wychowaniem i sztuki rządzenia. Można domyślać się trafnie, że jasnolacy przepychem i wspaniałymi budowlami oraz bogactwem strojów przewijających się przezeń osobistość z całej Europy zachodniej — musiał wpłynąć odpowiednio na wyobraźnię młodego księcia a nawet go oszłomić. Z czasem przyzwyczaił się do tego prawdziwie kosmopolitycznego, chociaż posługującego się przeważnie mową niemiecką, środowiska i przylgnął do niego. Mocno wyryły się w jego pamięć nie tylko bogaty i bajecznie kolorowy obyczaj dworski, w tym również przepisy i przeżycia z walk turniejowych oraz wypraw myśliwskich, lecz także pejzaż i piękni trubadurów oraz poetów wędrownych. Zafascynowany ich twórczością,

HENRYK PROBUS

z których pochodziła Anna, matka Władysława oraz innych dzieci Henryka Pobożnego. Przeznaczonym do kariery duchownej Plastowiczem zapiekował się wuj, Wacław I, król czeski, zapewniając zdolnemu księciu śląskiemu rozwój intelektualny i pierwszeństwo do wielu godności kościelnych. Władysław współuczestniczył nadto w rządach księstwem wrocławskim, współpracując na tym polu harmonijnie z bratem Henrykiem III. Po jego śmierci został opiekunem i wychowawcą młodzieńczego Probusa, którego wprowadził w obyczajowość i poglądy świata zachodniego, a także wpłynął decydująco na wykształcenie umysłowe chłopca. W ten sposób młody Probus został przywieziony na dwór króla czeskiego, świeżo koronowanego Przemysła

Ottokara II, na którym uczył się obyczaju rycerskiego i sztuki rządzenia. Można domyślać się trafnie, że jasnolacy przepychem i wspaniałymi budowlami oraz bogactwem strojów przewijających się przezeń osobistość z całej Europy zachodniej — musiał wpłynąć odpowiednio na wyobraźnię młodego księcia a nawet go oszłomić. Z czasem przyzwyczaił się do tego prawdziwie kosmopolitycznego, chociaż posługującego się przeważnie mową niemiecką, środowiska i przylgnął do niego. Mocno wyryły się w jego pamięć nie tylko bogaty i bajecznie kolorowy obyczaj dworski, w tym również przepisy i przeżycia z walk turniejowych oraz wypraw myśliwskich, lecz także pejzaż i piękni trubadurów oraz poetów wędrownych. Zafascynowany ich twórczością,

— sam brał do ręki — jak przyjmuje wielu historyków — pióro i tworzył zgrabne strofy liryczne. Kształtowała się w ten sposób wrażliwość księcia na piękno mowy i muzyki, lecz także architektury i rzeźby, a może i malarstwa. Uległ modzie dworu czeskiego, która starała się później wprowadzić u siebie, we Wrocławiu. W Pradze nauczył się również polityki, za którą uważał ścieranie się interesów partnerów i grę nie pozostawiającą miejsca na sentymenty nawet rodzinne. Stał się zwolennikiem silnej monarchii narodowej, niezależnej zarówno od papieża jak też od cesarstwa. W 1270 r. stracił swego opiekuna i regenta w księstwie wrocławskim, stryj Władysława. Opiekę nad Probusem przejął wówczas Przemysław II, w którego ambitnych planach

dynastycznych rozdrobniona Polska stanowiła obiekt rosnącego zainteresowania. Formalnie dobrowolnym aktem zobowiązał się Henryk Probus do daleko idącego ograniczenia swej samodzielnosci. Od wtedy i zgody króla Czech uzależnił bowiem swoje przyszłe małżeństwo, sojusze, nadawanie ziem, pożyczanie pieniędzy i załatwianie innych, ważniejszych spraw. Ubezpieczeniem młodego księcia Wrocławia sięgało tak daleko, iż nawet termin i czas pobytu Henryka IV w swym księstwie uzależniane były od woli Przemysła Ottokara. Uwolnienie go zaś spod kurateli czeskiej mogło nastąpić w wyniku wspólnej decyzji czeskich i wrocławskich baronów. W praktyce to zapewnienie sobie przez króla Czech decydującego wpływu na politykę zagraniczną i wewnętrzną Henryka IV nie znalazło większego wyrazu. Od schyłku 1271 r. wystawiał Henryk samodzielnie dokumenty, (nie powołując się nigdy na konsens Przemysła, a ten zaś nie wydał ani razu samodzielnie dyplomu dla odbiorcy w księstwie wrocławskim. Przy boku jednak księcia Wrocławia znajdował się wyznaczony przez Ottokara opiekun młodego Henryka, Szymon Gall, późniejszy wojewoda wrocławski. Sytuacja Henryka Probusa uległa jednakże zmianie już w 1273 r. Nie zważając na swoje poprzednie zobowiązania, przyrzekł on przyjąć pas rycerski z rąk Ottokara, wprowadzić jego barwy na swoim dworze oraz kierować się we wszystkim radą i życzeniem króla Czech. Mimo tego czeski protektor służył Probusem nadal za model władcy nowoczesnego, charakteryzującego się ruchliwością i przedsiębiorczością oraz ambicją i arbitralnością. Nie żył do niego jednak uczuć głębszych. Podziwiał go i zarazem nienawidził, afirmował wiele cech jego natury i metod postępowania, ale z wieloma nie potrafił się zgodzić.

Pierwsze lata panowania Henryka IV były trudne, chociaż sąsiadzi książęta śląscy czuli respekt przed czeskim protektorem księcia wrocławskiego. Jako sojusznik Przemysła Ottokara został Henryk wciągnięty w odnowiony po śmierci Beli IV konflikt węgiersko-czeski. W 1271 r. na dziedzińcu

(CIAŁ DALSZY NA STR. 4)

PRACA NAGRODZONA W KONKURSIE im. ADAMA POLEWKI

Mieczysław Buczyk ma prawie 70 lat i ciągle chce mu się walczyć o sprawiedliwość. Wszyscy się Buczykowi dziwią, gdyż na zdrowy rozum biorąc, powinien cicho siedzieć w tym swoim domu, odbierać od listonosza przekazy z emeryturą, a nie próbować na starość zmieniać świat. Próbowal już tyle razy i zawsze bezskutecznie. Świat pozostał takim, jakim był, za to Buczyk otrzymywał od życia tylko

Przed wojną Buczyk więcej „wychylił się” już nie zdążył. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, tak jak wielu jego rówieśników ubrał żołnierski mundur i poszedł na front. Wojna zakończyła się dla Buczyka pod Niskim, gdzie wzięty został do niewoli. Doczekał wyzwolenia...

JANUSZ HAŃDEREK

Przez tych osiem lat, które upłynęły od 37 roku, zapomniał o słowach rodziny, o tych wszystkich naukach w rodzaju „mądry człowiek nigdy się nie wychyla”. Teraz nie było już przecież sanacji, teraz był inny kraj, inne były też porządki. Buczyk wstąpił więc nie tylko do Związku Zawodowego Pracowników Kolejowych, ale zaczął w Brochowie organizować Komitet Miejski PPS. Znowu jednak na swoje nieszczęście nie tylko organizował, ale także wzięła go pokusa, by patrzeć ludziom na ręce. A było na co patrzeć. — Pełną parą — wspomina — szedł szaber. Na ten od-

wie, zawiadawała oddziałem i sekretarzem Komitetu Miejskiego PPR, Wincenty S. Pod względem szabru panowała pełna partynia zgoda. Szabrowali, albo z szabru czerpali korzyści, tak niektórzy zadomowieni już na Dolnym Śląsku członkowie PPS, jak i PPR.

— Nie wszyscy kradli — przyznaje Buczyk — ale wystarczało, że szabrem zajmowało się kilku towarzyszy, by zycie cię padał na pozostałych. Nie chciałem się z tym pogodzić i dlatego byłem niedobry. Gdybym przystąpił do spóły, to nie tylko miałbym pieniądze, ale i wielu przyjaciół.

Przyjaciół nie miał — miał za to wrogów. W 1947 roku odebrał mu legitymację PPS, tłumacząc to odebraniem faktem oczywistym: jego partia połączyła się z PPR i za kilka dni Buczyk otrzyma legitymację członka PZPR.

Czekał na tę legitymację cierpliwie, ale z tego czekania, nie pożytywno nie wyniknęło. Kiedy poszedł po swoje, niespodziewanie usłyszał:

— Wy jesteście legitymacji nie dostaniecie, bo do PZPR nie zostaliście przyjęci. Jesteście nacjonalistycznym wrogiem, a my takich wśród nas nie potrzebujemy.

Tłumaczył, że musieliście jakieś nieporozumienie, że wrogiem nie jest żadnym, że już przed wojną należał do lewicy, że przyjechał na Ziemię Odzyskaną, by zaprowadzić tu socjalizm, że pracuje przykładnie i bez wytchnienia.

— To wszystko dlatego, że szaber zwalczał. To niektórzy towarzysze z PPS i PPR mszczą się teraz na mnie — powiedział zupełnie nieroztropnie.

Po kilku dniach, jakie upłynęły od tej rozmowy, przekonał się, że myśleć to człowiek różnie może, ale mówić tylko to co trzeba. Został wezwany do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa.

— Wy jesteście odchyleniem i naszym wrogiem — grzmiał officer — a dla takich jak wy nie mamy żadnej litości.

Buczyk nie wspominał już o szabrze o towarzyszach o kradzieżach i ciemnych interesach. Nie wspominał, a mimo tego i tak usłyszał:

— Do tego osmielacie się szkalować członków partii, podrywacie ich autorytet. Uważajcie Buczyk, bo my mamy na was oko i jak się nie zmienicie, to źle z wami będzie.

Rzeczywiście, oko mieli. Do Urzędu Bezpieczeństwa wzywany był jeszcze kilkakrotnie i zawsze wysłuchiwać musiał pouczających nauk. Nie zaprotestował, bo i po co, gdy nagłe otrzymał służbowe przeniesienie do pracy na stacji Miłkowice. Do pracy gorszej, niż tej dotychczasowej.

W Miłkowicach przyjęty został nieufnie, a nawet wrogo. Wiadomo, „wrog socjalizmu”. Wiedział, że w dalszym ciągu interesuje się nim UB, że każdy jego krok jest skrupulatnie kontrolowany. Nie narzekał już, nie wybrzydzał nie mówił o kradzieżach i szabrze. Ci, od których to zależało nie wierzyli w odmianę Buczyka, bo już przecież w Brochowie udowodnił co potrafi. Człowiek nie zmienia się tak szybko, zwłaszcza ten, który nie został przyjęty do partii...

Trudno przewidzieć, co z tej nieufności i z tego śledzenia mogłoby jeszcze wyniknąć, gdyby nie śmierć ojca Buczyka. W Skawinie ojciec zostawił domek, w którym syn postanowił zamieszkać. Buczyk rzucił kolej, opuścił Dolny Śląsk i w 1951 roku na stałe osiadł na ojcowskiej. Podjął pracę w Krakowskich Zakładach Sodowych.

ETAP III

Buczyk miał już na tyle doświadczenia życiowego, że w Krakowie niczym innym się nie zajmował tylko pracą za o-dową. Przypuszczał, że papiery na takie jak nie trzeba, że w ślad za nim przysięży z Dolnego Śląska wyczerpujące charakterystyki. Może był przeczułony, może źle ludzi oceniał, ale przecież nie mógł się uwolnić od podejrzeń niektórych współpracowników. Zadawali takie dziwne pytania, o polityce chcieli dyskutować, mówili o audyacjach Londynu i „Wolnej Europy”. Prowokatorzy, szpiegi...

Milczenie wyszło Buczykowi na zdrowie. Doczekał w spokoju 1956 roku. Po październiku jednak odżył. Przypomniał sobie związkową przeszłość, swoją przynależność do PPS. Był znowu tym, o którym się mówi i którego się ceni.

W wyborach do Rady Zakładowej Krakowskich Zakładów Sodowych otrzymał wiele głosów, że został sekretarzem Rady. Patrzył na szybko biegnące wydarzenia, na zmiany, których zaistnienie jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie przewidywał.

(CIAŁ DALSZY NA STR. 6)

kuksańce i kopniaki. Dosiłownie i w przenośni. Nazywano go też czarną, parszywą owcą, a wiadomo przecież, że stado odmienców nie znosi. Nie znosiło też Buczyka, chociaż w krótkich — przyznać to szczerze trzeba — przedziałach czasowych, gdy historia zaczynała biec przyspieszonym rytmem Buczyk nawet się podobał. Potem podobać się przestawał i znowu był tym złym, niebezpiecznym „elementem”, który należy konsekwentnie tępić.

Buczyk wielokrotnie się bronił, ale w 1965 roku stracił — wydawałoby się — ostatecznie wiarę w sens jakiegokolwiek walki. Wiarę tę odzyskał znowu w 1981 roku i wysłał do Komitetu Centralnego PZPR kilka kartek zeszytowego papieru, zapisanych niezręcznym, koślawym pismem. Ostateczna odpowiedź przyszła po kilku miesiącach. Odpowiedź, a raczej decyzja, dla Mieczysława Buczyka pomyślna...

ETAP I

W 1937 roku, Mieczysław Buczyk miał dwadzieścia kilka lat i różne mrzonki w głowie. Należał do Związku Zawodowego Pracowników Użyteczności Publicznej, który miał wyraźnie lewicowy charakter. Gdyby Buczyk był tylko zwykłym, szarym członkiem — takim, co to nosi legitymację i bardziej lub mniej regularnie opłaca składki, kłopotów nie miałby żadnych. Na swoje nieszczęście, był jednak związkowym działaczem ostro dopominającym się o robotnicze prawa. Tak mocno, że kiedy właśnie w 1937 roku wybuchł strajk pracowników Użyteczności Publicznej, został członkiem Komitetu Strajkowego.

Gardził i nie wiało, tepłi lamistrajków, organizował pomoc dla rodzin najbardziej potrzebujących. Podobał się wówczas i był fajny. Koledzy przyjaźnie klepali go po ramieniu, mówili, że za nim „pójdą murem”, mówili inne takie podobne rzeczy.

Mówienie, jak wiadomo, nie kosztuje, nie zawsze też pamięta się o wcześniej złożonych obietnicach. O tych ostatnich zapomnieli także koledzy Buczyka. Kiedy pracodawca ułożył się z nimi, dał część tego, czego strajkujący żądali, wrócił do roboty nie zauważając nawet, że nie wrócił z nimi Buczyk. Udawali, że nie wiedzą o wyłączeniu Buczyka z roboty, a gdy udawać się już nie dało, szybko rozgryzli się ze swojej bierności, że słów o „pójściu murem”, z wcześniej deklarowanej solidarności.

— „Cóż — mówili — Buczyk jest młody, zdrowy i silny, robotę sobie znajdzie. Nie to co my z bachorami, zgonami, z życiem od wypłaty do wypłaty. My nie możemy przecież w nieskończoność strajkować, bo też nas wyleją. Buczyk da sobie jakoś radę...”

Po raz pierwszy w życiu Buczyka pojawiła się gorycz. I nie dlatego, że stracił pracę, bo — jak wówczas uważał — pracodawca miał prawo pozbicia się takiego gardującego związkowca, ale ta gorycz powstała z powodu stanowiska kolegów, którzy dla kilkudziesięciu groszy podwyżki na godzinę, tak łatwo poświęcili członka Komitetu Strajkowego.

— Nie wychylał się więcej — radziła Buczykowi rodzina, bo sam widział jak to jest. Ludzie chętnie chowają się za plecami innych, a jak przyjdzie co do czego, to każdy umie patrzeć tylko na własny garnuszek.

ETAP II

— Zaraz po wyzwoleniu — mówi Buczyk — była wielka agitacja, zachęcająca młodych ludzi do osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych. Tam powstawała nowa Polska i każde zdrowe ręce były na wagę złota. Ręce miałem zdrowe, choć też był, wzięciem satygrowana, ocalała z wojny walizkę i pojechałem na Dolny Śląsk. W połowie 1945 roku, zostałem kolejjarzem na stacji Brochów.

zyskany Śląsk, przyjeżdżały tłumy, jak do jakiegoś złotodajnego El Dorado. Spryciarze, kanciarze, ale także ci najbardziej, którym wojna wszystko zabrala. Przez stację przewały się setki ludzi obciążonych większym i mniejszym dobytkiem. Szaber był zwyczajny, ale jak to często bywa przy kontrolach, wpadały przede wszystkim plotki. Prawdziwe rekiny wiedziały komu trzeba dać, by nie obawiać się żadnych konsekwencji.

Szabrem zajmował się naczelnik parowozowni w Brocho-



Język do opisu rzeczywistości

ROZMOWA z MATEMATYKIEM

Nie trzeba być hutnikiem, nauczycielem, ekspedientką, inżynierem czy rzemieślnikiem aby wyobrazić sobie, na czym polega praca tych ludzi. O wielu innych zawodach każdy z nas też umiałby coś powiedzieć — ale czy również o profesji matematyka? Czy jest zajmują matematyk, jak pracują i jacy są? Rozmawiam dziś z jednym z nich — prof. dr. hab. Bolesławem Szafirskim.

— Czy można mówić o zawodzie matematyka tak jak się mówi o innych zawodach?

— W dowodzie osobistym w rubryce „zawód” mam wpisane: matematyk. To jest zawód jak wiele innych, z tą różnicą, że matematyka jest dziedziną nauki, którą wykonują swój zawód jak nauczyciel czy rzemieślnik oraz takich, których należałoby raczej porównać z pisarzem, kompozytorem, plastykiem. Można w tej pracy osiągać różne efekty w zależności od talentu.

— Jak wygląda wykonywanie tego zawodu? Co robi matematyk w godzinach pracy?

— Myśli, medytuje. Gdyby obserwować matematyka z boku, powiedziałby przez okno, można by zauważyć, że od czasu do czasu coś napisze, skreśli, podrze kartki, wrzuci je do kosza i zacznie od nowa.

— A zatem na warsztaty pracy matematyka składa się kartka papieru i ołówek. To wszystko?

— Niezbędna jest jeszcze duża biblioteka, gdyż im więcej człowiek wie, tym więcej może zrobić. W życiu codziennym wystarcza nam odrobina znajomości geometrii i umiejętności wykonywania prostych działań arytmetycznych. Funkcje trygonometryczne, rachunek różniczkowy i cała masa innych rzeczy idzie w zapomnienie jako nieużyteczny balast.

— Jeśli młody człowiek na lekcjach matematyki wci-

— Może to być zaskoczeniem dla kogoś z zewnątrz, ale my prawie w ogóle nie posługujemy się komputerami. Informatyki nie traktujemy jako matematyki, lecz raczej jako specyficzną dziedzinę logiki. Komputery zostały stworzone do szybkiego wykonywania uciążliwych rachunków. Matematyka składa się zasadniczo z definicji, twierdzeń i dowodów twierdzeń. Te ostatnie polegają na przeprowadzaniu pewnych rozumowań logicznych i one właśnie, a nie rachunki, są istotą matematyki. Matematyka rzadko posługuje się konkretnymi liczbami, przeważnie używając symboli.

— Człowiek, który po ukończeniu szkoły średniej stracił kontakt z matematyką, może dojść do wniosku, że nauczono go mnóstwa zbędnych rzeczy. W życiu codziennym wystarcza nam odrobina znajomości geometrii i umiejętności wykonywania prostych działań arytmetycznych. Funkcje trygonometryczne, rachunek różniczkowy i cała masa innych rzeczy idzie w zapomnienie jako nieużyteczny balast.

— Jeśli młody człowiek na lekcjach matematyki wci-

uczy się nie tylko faktów lecz także myślenia matematycznego, uczy się jednocześnie logiki i precyzji w myśleniu, a to zostaje już na całe życie, choćby się zapomniało o szczegółach.

— Panie Profesorze, czym właściwie jest matematyka?

— Na to pytanie nikt jeszcze nie dał zadowalającej odpowiedzi. Prof. Jacek Szarski w pięknej książeczce „Matematyka — klucz do rzeczywistości” napisał, że matematyka dostarcza języka do precyzyjnego opisu zjawisk zachodzących w otaczającym nas świecie i myśle, że wielu matematyków mogłoby się z tym zgodzić. Rzecz w tym, że wiele praw przyrody można zapisać w postaci równań różniczkowych, w których niewiadomymi są funkcje opisujące jakieś zjawiska jak zmiany temperatury, energii czy prędkości. Jeżeli równanie zostaje rozwiązane, to badacz konkretnego zjawiska dowiaduje się, jak ono przebiega w czasie i może przewidywać jego dalszy rozwój. Znamiennym przykładem dostarcza astronomia, która dysponuje dobrymi modelami matematycznymi ruchu ciał niebieskich. Dzięki nim można na wiele lat naprzed przewidzieć zaćmienia Słońca i Księżyca.

— Czy prace matematyków zawsze znajdują jakieś zastosowanie?

— Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że matematycy na ogół nie myślą o zastosowaniach. Tworzą aparat, który później przydaje się w praktyce albo idzie w zapomnienie. O pewnych osiągnięciach XIX-wiecznych dziś w ogóle nie wspominamy studentom. Czasem znowu po wielu latach okazuje się, że jakieś odkrycie matematyczne świetnie przydaje się do badania określonego problemu. Do rzadkości należą przypadki, kiedy matematycy pracujący teoretycznie przyczyniają się do rozwiązania konkretnego zagadnienia praktycznego, aczkolwiek ostatnio mieliśmy do czynienia z taką historią. Ośrodek konstruktorzy świdrów geologicznych mieli kłopot z wyeliminowaniem drgań pojawiających się przy wielkich obrotach. Prof. Andrzej Lasota przeanalizował problem i na drodze matematycznej wyjaśnił tajemnicę drgań. Dzięki temu stał się właścicielem patentu na wiertło do świdrów geologicznych.

— Matematyka może więc służyć do celów bardzo użytkowych. Czy warto zajmować się takimi problemami, które nie rokują nadziei rychłego zastosowania?

— Pracować trzeba nad wszystkim, bo nie sposób przewidzieć, co się kiedyś przydać może. Matematyka jest jak tkanina, w której zastosowania są wątkiem, a nurt ściśle teoretyczny stanowi oś. Jeśli zabraknie osnowy, tkanina się rozpadnie.

— Czy matematyka naucza jakiś specyficzny sposób widzenia świata?

— Z całą pewnością wychowuje człowieka. Matematyka to człowiek, który zdaje sobie sprawę, że trudności nie da się omijać, a nawet nie powinno się tego próbować. Również w życiu. Jeśli się pojawia, należy je pokonać. Matematyka uczy aktywnego stosunku do życia.

— Dziękuję za rozmowę.

LESŁAW PETERS

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 2)

wrocławską spadł najazd Bolesława Wstydliwego, Bolesława Pobożnego, Leszka Siemowitowicza i Konrada Czeskiego, którzy stanowili przeważające stronnictwo w Polsce. Kiedy zlikwidowano tarcia czesko-węgierskie, ich miejsce zajął antagonizm między świeżo wybranym władcą Niemiec, Rudolmem z Habsburga a Przemysłem Ottokarem. Podjętą przez dyplomację cesarską próbę przeciągnięcia na stronę Niemiec książąt Śląska nie przyniosła rezultatu na dworze wrocławskim, natomiast odniosła sukces w postaci przejścia na stronę Rudolfa – księcia Legnicy, Bolesława Rogatki. Jest prawdopodobne, że za namową wysłanników habsburskich, gdy Rogatka uznał, że gwiazda Przemysła Ottokara zaczęła tracić swój blask, zdecydował się na zaatakowanie bratanka. W 1277 r. zachłanny i pozbowiany rodzinnych sentymentów książę legnicki porwał Henryka IV w Jelcu pod Wrocławiem i uwieził go w swoim zamku we Wleniu. Gwałt ten wywołał oburzenie wśród Piastów panujących w innych dzielnicach i skłonił sprzymierzonych wcześniej z Henrykiem IV, Przemysławą II i Henryka Głogowskiego, do interwencji zbrojnej przeciwko Rogatce. Niestety, próba uwolnienia przez nich Probusa nie powiodła się, gdyż syn Rogatki, Henryk, zadał interwentom ciężką klęskę pod Stolem. To skłoniło do osobistego zaangażowania się Przemysła Ottokara w starania o uwolnienie Henryka Probusa. Zmuszony był przede wszystkim zaspokoić pretensje Bolesława Pobożnego i Ottona margrabiego brandenburskiego w celu zapewnienia sobie ich neutralności. Bolesławowi Pobożnemu oddano w zastaw dwa grody w księstwie wrocławskim, a margrabia Otto zadowolony się wydaniem mu Krosna z okregiem. W połowie lipca 1277 r. za uwolnienie Henryka zgodził się we Wrocławiu Przemysł Ottokar II na odstąpienie Bolesławowi Rogatce 1/6 dzielnic wrocławskich ze Strzegomiem i Środą. Uwolniony Henryk nie poczuwał się do nadmiernej wdzięczności wobec władcy Czech, który tak hojnie szafował jego ziemiami. Będąc sojusznikiem Przemysła Ottokara nie wziął osobistego udziału w bitwie

nad Morawą w 1278 r. pod Suchymi Krutami, która zakończyła się klęską króla Czech i jego śmiercią, chociaż dostarczył mu kilka hufców własnego rycerstwa. Skutkiem tej bitwy było załamanie się potęgi Przemysłków i ponad 20-letni okres zatory przez nich korony królewskiej. Starali się Prubus uwolnić z tego korywca dla siebie.

Wkroczył po wspomnianej bitwie niezwłocznie do Czech i zgłosił pretensje do opieki nad małoletnim synem zabitego króla, Wacławem II i jego matką, królową wdową Kunegunda. Okazało się jednak, że starania o to samo podjęli

Henrykowi oraz wcześniejsze odstąpienie Krosna Brandenburgczykom, zaogniło stosunki między księżciem wrocławskim a Ottonem. W lipcu 1277 r. ówczesny Henryk IV wypowiedział wojnę miastu. Władysław, książę opolski, a królowa Kunegunda, po czym wykuł za 8 tysięcy grzywien Krosno, zastawione u margrabiego Ottona. W marcu roku następnego widzimy go w Wiedniu, gdzie wystawił słynny przywilej dla joannitów na Śląsku, ale przybył tu ściągnięty przez Habsburga przede wszystkim dla montowania koalicji przeciwko margabiemu. Głównym powo-

uwadze ewentualna koronacja swojej córki — wyraził zgodę na królewskie wywyższenie swojego zięcia. Koronacyjne plany Henryka Probusa mogły znaleźć zwolenników także wśród innych władców Śląska, podzielonego poza księstwem wrocławskim na wiele drobnych części. Wśród książąt śląskich zajmował Henryk Probus stanowiska naczelne, z racji władania w największej i najbogatszej dzielnicy oraz ze względu na swoje powiązania polityczne z potęgami zewnętrznymi, jak papieżstwo, król czeski i władcy Rzeszy Niemieckiej. Pozyskanie książąt legnickich i głogowskich napotkało zrazu na trudności wynikłe z ich sojuszu z margrabią Ottonem Dugim, wroga nastawionym wobec księcia wrocławskiego. W 1280 r. oddziały brandenburskie zaatakowały Śląsk wrocławski i obległy Ziębice. Nie mając pod ręką sił habsburskich mogli skierować wyprawę odwetową tylko na ziemie posilkujących margrabię książąt Bernarda i Bolka z Jaworu. W 1281 r. ściągając na zjazd Henryka legnickiego (następcę i syna Rogatki), Henryka głogowskiego oraz Przemysła II, których podstępnie uwieźli i wymusili na ostatnim z nich ziemię wieluniąską, zaś na pozostałych — pomoc wojskową z 30 rycerzami na każde wezwanie, czyniąc z nich tym samym swoich lenników. Narzucanie przezeń zależności lennych swoim stryjecznym braciom wiązało się niewątpliwie z planami królewskimi księcia wrocławskiego. Podobnie postąpił z Konradem ścinawskim, którego uwieźlił w 1284 r. Przejęciowie sukcesy zanotował także Henryk na odcinku wielkopolskim. W wspomnianym roku bowiem Sędziwój kasztelan rudzki i podkomorzy kaliski wydał Kalisz w ręce Henryka Probusa. Mimo podjęcia przez Przemysła II próby odzyskania grodu, po nieudanym obleganiu Kalisza, doszło do zawarcia układu. Przemysł odstąpił gród kaliski, ale w zamian za Ołobok z okręgiem. Nie był to jednak trwały nabytek, gdyż już w 1287 r. rycerstwo wielkopolskie odbiło Ołobok i ziemię rudzka.

FELIKS KIRYK

OLGIERD JEDRZEJCZYK

LEKTURY OBOWIAZKOWE

Rosja pod piórem historyka polskiego

Ukazała się książka niezwykle ważna dla polskiego środowiska historycznego w szczególności, dla społeczeństwa polskiego w ogóle. Z punktu widzenia moich publicznych zadań i w jakimś sensie znającej o tematyce „Historia Rosji” Ludwika Bazylowa (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983, 2 tomy, 930 stron, cena zł 400) jest absolutnie wydarzeniem historycznym. W tym sensie słowo uczęszającego staje się ważnym czynem zarówno w obrębie samej nauki jak i w sferze politycznej. Potężny, wielki temat znalazł pod piórem polskiego historyka właściwe słowom naszym najczystszym wyraz. Otrzymała część bibliograficzna, która uzupełnia rozważania dotyczące poszczególnych okresów, żywy stosunek profesora Bazylowa do wszystkich źródeł pisanych, archeologicznych, do dzieł nie tylko politycznych ale i historii kultury rosyjskiej sprawiają, że nakład blisko 30 tysięcy tego dzieła jest żadną miarą niewystarczający. Na marginesie zaznaczyć należy, że zdziwienie wydawców powodzeniem książek naukowych jest zupełnie nieuzasadnione. Po prostu każda książka z zakresu nauk humanistycznych jest dziś potrzebna, ponieważ rynek został wyraźnie pozabowany dopływ takich właśnie pozycji.

rodnictwa rosyjskiego w latach 1878—1881", „Polityka wewnętrzna caratu i ruchy społeczne w Rosji na początku XVI wieku.

ku XX wieku". "Dzieje Rosji 1801–1917". Ostatnie lata Rosji carskiej. Rządy Stoly-pina", "Społeczeństwo rosyjskie w pierwszym połowie XIX wieku", "Syberia", "Obalenie caratu". Już te ostatnie tytuły świadczą o zainteresowaniach tematycznych profesora, zaś jego „Historia powszechna 1789–1918” uprzytomni współczesnemu czytelnikowi polskiemu, że uczonej, historyk ma w sobie znakomitą sprawność uogólnienia, syntezy, opartej o rozważania szczegółowe. Nie przesadza jeśli stwierdza, że „Historia Rosji” idealnie odpowiada tym naszym mniemaniom,

Trudno jest oczywiście w
nawet najobszerniejszej re-
cenzji prasowej ogarnąć
zarówno potężną informację
szczegółową jak i sposób przed-
stawiania właśnie syntez histo-
rii Rosji. Musimy się więc
skupić na paru zasadniczych
sprawach, które trapią za-
równo środowiska naukowe
jak i powszechnie kręgi czytel-
nicze.

Pierwsza sprawa to etnogeneza Słowian wschodnich. Ludwik Bazylow zajmuje się tym szczegółowo w rozdziale V tomu I „Europa Wschodnia przed powstaniem państwa staroruskiego”. Fascynujące są rozważania autora o nazwach i pochodzeniu Scytów, Chazarów, Sarmatów i plemion protosłowiańskich. Zważmy, że przytoczony tu rozdział poświęca uwagę zawarte w czterech rozdziałach odnoszące się do pisarzy — twórców źródeł do historii wschodnich Słowian.

Rozdział VI „Ruś pogańska” w czwartym podrzdziale „Normaniści i antynormaniści” daje kapitalny przegląd poglądów uczonych rosyjskich — w ciągu historycznym — i obcych o normanjskiej, najedyniejzkiej formie państwa Rusi Kijowskiej.

Przyjęcie chrztu przez Włodzimierza Wielkiego, rozdrobnienie feudalne, walka z najazdami, początek i umocnienie się państwa mongolskiego doprowadzają do zasadniczych w tymie II rozdziałów poświęconych Moskwie jako głównej ośrodkowi

Falowania działań od liberalnych do reakcyjnych w wymiarze portretów carskich wieku XIX stają się w książce polskiego historyka znowu jakby rodzajem odwołania rozumowania pisarskiego. Tak, nie trzeba się bać tego określenia. Z drugiej strony polski historyk współczesny do zmagania polsko-rosyjskich – obok wojny krymskiej i wojny z Japonią – odnieść się musi bolszewickiej. Książka profesora Bazylowa w tym względzie jest precyzyjna, podaje daty, opisuje osoby, bał, stara się dotrzeć do motywów działania tych rewolucjonistów, którzy podejmują na przykład czynny terrorystyczny wobec cara i jego satrapów. Dopiero tak zespolone dzieje narodu rosyjskiego – kiedy w blasku marzeń uczonego oglądamy na wystawie fali rewolucyjnej ia-

Otrzymaaliśmy więc dzieło o bardzo szerokich horyzontach tematycznych, od ważnie łączących syntezę szczegółową informacją, napisane językiem żywym (miejscami nie wolnym od błędów stylistycznych). Wspomnianie już tutaj rozważania o kulturze rosyjskiej mają jakby przeciwną tematyczną w uzasadnieniu rozwoju procesu historycznego w zjawiskach gospodarczych i ruchach społecznych. Ale nie w tym z tego wykładu. Jest to książka żywa również przedmiotowo stawiana tez, które na przykład w wypadku negatywnej aż do głębi ocen „opryczyzny” jest – jak mi się wydaje – prawdziwą sensacją.

„Historia Rosji” Ludwika Bazyłowa jest niewątpliwie wydarzeniem w wydawniczym roku 1983.

LUDZIE TEATRU

JERZY BOBER

Dwa oblicza portretu

Tak się dziwnie składa, że czołówkę naszych aktorów teatralnych — od najstarszych roczników po wielce utalentowaną młodzież — widzimy częściej (jako ogólna liczba widzów) w kinie i na ekranach telewizyjnych, aniżeli w rolach z bieżącego repertuaru scenicznego. Co zresztą — na zasadzie naczyń połączonych: praca w teatrze i podczas *wypożyczek* filmowych lub dla potrzeb TV — jest o tyle zrozumiałe, o ile trudno pogodzić fizycznie obecność jednej osoby w dwu, albo trzech miejscach równocześnie. Niezależnie od ugruntowanych a specyficznych tradycji polskiego aktorstwa filmowego. Jako, że (z małymi wyjątkami przed II wojną światową i po wojnie) nasza kinematografia za wyjątek czerpała pełnymi garściami z zasobów i dorobku artystów dramatycznych. Choć ich główną bazą zawsze jednak była teatr. Oczywiście, pojawiali się i pojawiają aktorzy tylko wyspecjalizowani w występach na užtek kina, ale znaczących spośród nich można policzyć na palcach. Nie ma u nas takich sytuacji, jak w Hollywood, Francji, Wielkiej Brytanii czy RFN, gdzie producenci filmowi korzystają przeważnie z usług własnych aktorów, nie związanych z teatrem. A jeśli już zdarzają się wypadki wejść na scenę, to są one raczej próbą dodatkowej reklamy gwiazd kina, najczęściej nie umiędzczonej powodzeniem artystycznym pod auspicjami Melpomeny.

zwykle utalentowanego — a przede wszystkim przed paru laty zmarłego — pisarza, scenarzystę, aktora i autora kabaretowo-filmowego) w późniejszych rolach, jak choćby z głównej *Nocy Listopadowej* Wyspiańskiego (reż. A. Wajdy) czy *Wiśniowego sadu* Czechowa (reż. J. Jarockiego), Warszawianki Wyspiańskiego (reż. H. Tomaszewskiego) aż po — znów — Wyspiańskiego w *Weselu* (reż. J. Grzegorzewskiego) nasuwa się dość natarczywa refleksja, ponieważ uogólniania dotyczące potencjał warsztatu dramatycznego i pewnie „zaszklawione” osobowości teatralnej młodej aktorki. Bo, że ma ona osobowość sceniczną, fakt ten nie ulega wątpliwości. Rzecz jasna, tzw. warunki zewnętrzne, czyli dziewczęca i powabna prezencja, złączona z wrodzoną nieśmiałością, jakby przetykaną filutrynymi zmrużeniami oczu — są jednocześnie emanujące od *wętrza* autentyczne ciepło — narzucają, niejako wzrokowo, pewien styl wieleń aktorskich i (co paradoksalnie) także... ograniczenia scenicznego ekspresyjnego. Innymi słowy: wybitni inscenizatorzy badającą ją w realizowanych przez siebie sztukach, wydają się ulegać mechanicznemu zaskugerowaniu przesłonią powierzoną artystki, fascynającą jej niby — nieskomplikowaną *dziewięćcią*, wskutek czego inni reżyserzy często nie umieją (albo nie chcą) uwolnić Dymnej z doprowadzonego do perfekcji, ale przecież stereotypu i od-

Po co ów występ, skoro — przy okazji sztuki wyznaczeni ministrowi kultury i sztuki na odcinku TEATRU — zamierzam, z konieczności skróconego przedstawiania sylwetek i r a k o w s k i c h laureatów (vide: poprzednie numery magazynu „GK” z publikacją o J. Treli i H. Giżyckim) podzielić się kilkoma osobistymi impresjami na temat aktorskiego *emploi* i najbardziej z nagrodzonych pod Wawelem (nagrodą II stopnia) **ANNY DYMNEJ**? Wydaje mi się, że właśnie przytoczone uwagi, ogólne uświadczenia scenicznego, akurat na przykładzie Dymnej pozwalają uwypuklić dodatkowo nie tylko stopień popularności tej, pełnej wdzięku i urody aktorki teatru, lecz także — podkreślić swoisty fenomen odkrywania jej naturalnego stylu gry w wymiarach dużego i małego ekranu. Bo Anna Dymna zrobiła przede wszystkim karierę ogólnopolską poprzez zbliżenia do widowni za pośrednictwem filmu i TV. Mimo że stale — acz stosunkowo rzadko — można ją zobaczyć i usłyszeć w macierzystym TEATRZE STARYM, z którym związana się zaraz po ukończeniu studiów w krakowskiej PWST przed 10 laty. Co więcej, gąbry szukać z pedantyczną skrupulatnością początków jej wzięcia ze scenami za w o d o w y m i imienia H. Modrzejewskiej, odnależlibyśmy nazwisko Anny (wówczas jeszcze panienskie) **DZIAŁYK**, jako młodzieńczej studentki wydziału aktorskiego szkoły teatralnej, w obsadzie widowiska **Król Mieszko** J. M. Rymkiewicza w reż. B. Hussakowskiego, z jesieni r. 1971! Występowała tam zresztą z powodzeniem wśród starszych kolegów — profesjonalistów. I nie była to takta sobie, epizodyczna rólka, którą można powierzyć byle statystyce z odrobiną *smękal*ki scenicznej, lecz poważne zadanie aktorskie. Mimo, że cała rola kociętyjnej Kasi została zbudowana na akcentach półzartobliwych, zgodnie z przekornymi intencjami sztuki Rymkiewicza. Spektakl Hussakowskiego odkrywał więc już wtedy — obok kapitalnych sylwetek komediowych J. Bincezyńskiego (Pelka) oraz J. Treli (arcybawego Króla) zaskakujące świeżością i swobodą uosobienie naiwno-zachłannej Kasi, i słoda instynktownie wyczuwała wszystkie przewrotności ducha u twórcy i potrafiła wyrazić — zaznaczyć na scenie swoją obecność aktorską. Za pomocą interpretacji charakteru działań przedstawianej postaci, a także poprzez *ładne* oraz rozumne mówienie wiersza Rymkiewicza.

tworstwa większości jej ról. Nie, że u progu aktorskiej przygody Dymnej zaczęła się reżolutna Kasia z *Mięsopusta*, a w *Weselu* trzpiotowała (finezynje) Zosia – gdy nadal patronują artyście poetycko-zwiewne Komar (Noc Listopada), cierpliwie-naïwne Amelia (*Wiśniowy sad*, *Warszawianka*), prześladowane i przebrane życiowo Czajki (10 portretów z *Czajką w tle* – Czechowa i Grzegorzewskiego), przesycone zewnętrznyim tragizmem Elektry (*Orestes*) – Aischylos i Hübnar!). Toteż talent tej subtelnej aktorki sporadycznie, na siłę ostatecznego wyrazu, hamowany jakby schematycznymi przyzwyczajeniami z wyższych opiniekunów zadawałających się prawie wyłącznie aurą jej osobistego uroku, bez podejmowania wysiłków odsłonięcia – zaznaczanego przecież wyraziście – drugiego oblicza, które pogłębia i zaostraża rysy prawdziwej twarzy Dymnej. Nie z jej zatermnienia, winy, albowiem nawet twórcy spektakli widzący inaczej osoby dramatu, odzwierciedlane przez nią (m. in. w *Matych krokach, wielkich krokach* Karpińskiego, *Queen Mary Dryera* – Binczyńskiego. *Zwierzeniach* clowna Bölla – Grabki) nie potrafili przezwyciężyć owej zadawałoby się, obiegowej choć zafaszwanej legendy *genre'u* Dymnej w teatrze.

A tymczasem film: komediowo-obyczajowe role w *Samych swoich*, *Nie na mocnych kochaj*, albo rzucić, czy spora liczba ekranowych ujęć dramatycznych o podłożu psychologicznym i serialu, jak np. ten, poświęcony Bonie lub Barbarze Radziwiłłównie, zaś na koniec – żeby porządkować tylko na wyrywkowo przypomnienniu – przepiękne studium teatralne TV w Maeterlinckowskim *Peaseie i Melisandzie*, ujawniły rozległą rolę – wszechstronną rozpiętość interpretacji tekstu oraz technikę warsztatu dramatycznego dojrzałej, choć wciąż wiośsenno-modełowej artystki. Odbardzonej fantastyką wręcz fotogenicznością. No, i umiejacę! (w filmach!) znalazł swoje miejsce zarówno na obszarze komedii, farsy i groteski, jak też w tragediach antycznych oraz nowoczesnej dramaturgii. Bez uciekania się do cukierkowych pozorów wtlaczania tego interesującego aktorstwa nawet w szablony melodramatu.

Myślę, że warto spojrzeć na Dymną — ze sceny i z ekranu — w całości jej osiągnąć ergo: pod kątem nie wykorzystanych dotąd atutów teatralnych. Czyli, po prostu, wykorzystać wreszcie pełną i różnorodną skalę możliwości, jakie wciąż kryją się w cieniu

„Państwowy Dom Dziecka” — umieszczonej tuż przy wejściu wohuckiego bloku na os. Szk. mroczone korytarze, wysokie i sale. Dzieci wydają się w nich smutniejsze, bo pomieszczenia te są wychowawcom tworzenia cie dzinnej. Idąc przez korytarz czy dzieci biegające wokół, lub sze, zebrane w sali przed tele chylone nad książką, rzeczywi tu dom?

ZABRAKŁO MIEJSC DLA DZIECKA

— „Na 10 naszych wychowanków na palcach jednej ręki możemy zliczyć tych, których rodzice nas żyją i twierdzi dyrektor tej placówki RYSZARD DONOHOFER i na potwierdzenie wymienię ich nazwiska — naszych dzieci jest półsierotami, pozostałe mają ojca matkę. A więc mają także jakiś rodzinny dom, w którym zabrakło dla nich miejsca. Są to przeważnie także domy, gdzie na wódkę pieniądze zawsze musi wystarczyć, a zabrakło ich dla dzieci. Dyrektor i jego zastępczyni GRAZYNA LESIAŃK z trudem zachowują spokojny ton, gdy opowiadają w jakim stanie malcy trafiają tu spod „opiekuńczej” ręki matki czy ojca. Brudne, w zniszczonych ubrankach, często nawet zawieszane, zastrzaśnione, a niekiedy także niedożywione i anemiczne dają — nieświadomie — też świadectwo swym rodzicom. Zresztą zwykłe tonie rodzice przyprowadzają je tutaj po raz pierwszy, a funkcjonariusze MO, czy też trafiają tu z Pogotowia Opiekuńczego z postanowieniem Sądu d/s Nieletnich.

Nietrudno dziecko umyć, przebrać i — jeśli tylko jest zdrowe — odżywić, ale gorzej bywa z jego wychowaniem. Bo przecież już w najwcześniejszym dzieciństwie mały człowiek nabywa pewne nawyki i skłonności zapadające głęboko w jego naturę i te wykorzystanie natrudniej. „My nie jesteśmy takie zupełnie dobre — próbowała mi wyjaśnić 16-letnia wychowanka, a wzrok jej uciekał gdzieś pod stół — Mamy wie pani, różne kontakty... przyjdzie jedna zep-

REPORTAŻ
KRYSTYNY ROŻNOWSKIEJ

Wszystko

suta do placówki, to zapoznaje inne ze swoim towarzystwem... dużo teraz takich różnych chuliganów... No nie jestem wszystkie takie zupełnie zepsute — próbuje wyjaśnić tę skomplikowaną moralnie sprawę — ale gorsze niż normalne dzieci". Stara się być szczerą, choć chyba wytydził się też powszechnie — jak sądzi — opinii o wychowankach Domu Dziecka.

To nie przypadek, że wyjątkowo wielu wychowanków ma kłopoty w nauce, bo oni przeważnie są nieco słabsi intelektualnie od rówieśników, czy to z powodu zamknięcia w wczesnym dzieciństwie, czy obciążenia dziedzicznych. Prawie połowa wychowanków nowohuckiego Domu Dziecka chodzi do szkoły specjalnej, a czworo do szkoły życia. Choć są także wśród nich dzieci zdolne, wrażliwe.

NAWET LEPIEJ NIŻ W DOMU,
ALE...

— „Tu nie jest źle, mamy właściwie wszystko” — tak mówiły prawie wszystkie dzieci, z którymi rozmawiałam. I nie kończyły zdania, a tylko zawiązywały głasy, jakoby nie powiedziały jeszcze wszystkiego. „Jest mi tu zupełnie dobrze, nawet lepiej niż w domu — przyznał lojalnie jeden z chłopców — ale wolabym wrócić do swoich rodziców” — dodał ciszej.

Co daje im Dom Dziecka? Właśnie prawie wszystko co wydaje się być dziecku potrzebne: dach nad głową, wyżywienie, opiekę wychowawczą i medyczną, ubranie, możliwość nauki. Pokoje są raczej wygodne, posiłki lepsze niż w niektórych domach, gdzie zmuszona po pracy matka nie zawsze jest w stanie ugotować świeży obiad z dwóch dań. Stawka żywieniowa wynosi 110 zł dziennie. Wychowawcy starają się, aby dzieci były ubrane ładnie i niejednakoowo, uwzględniają — na ile to możliwe — gusty i życzenia starszych wychowanków. Oczywiście ma-



ją kłopoty z kupieniem butów, rajstop, dziecięcej bielizny, ale ktoś ich dąś nie ma. Warunki do nauki są tu na pewno nie gorsze, niż w przeciętnym domu. Dzieci chodzą do różnego typu szkół, najmłodsze do przedszkola, nieco starsze do zwykłych, lub specjalnych szkół podstawowych, a najstarsze do szkół zasadniczych. Tylko jedno z 16 dzieci, które ukończyło w ciągu ostatnich 6 lat tę placówkę ukończyło pełną szkołę średnią. Po południu wychowawca pomaga im w odrabianiu lekcji. Oczywiście tym, którzy najbardziej tej pomocy potrzebują, lecz czy ci prawdziwi rodzice zawsze chcą i są w stanie uczestniczyć w nauczaniu swoich pociech? A gdy dzieci dorosną i przyjdzie cza-

„Oto opowieść moja. Jeleń łani wzywa
Lato umiera. Pędzi zima opryskliwa
Wiatr łiche słońce jak świeczkę zdmuchuje
Prosi się w krew zamienia. Morze już szormuje
Dzika gęś dźwięga głowę w słońcu śmiertelnym boju
Bije zamaryzłym skrzydłem. Ponad mroź wiatruje
Oto świat ściety. Oto i opowieść moja”

Staroirlandzka pieśń anonimowa z X wieku,
tłum. Ernesta Brylla i Brendana Kennelly.

Tworzy się piórem, pedzłem,
dłutem i częstką samego
siebie. Oddaje się ten ka-
wałek ciała i duszy, serce i
mózgu — dziełu. Geniusz i gra-
foman na równi, tylko że z
pierwszego to jest częstka ge-
niuszu i ona zostaje, a z dru-
giego farfocel — równie zapal-
czywie wydzierany z ciała — te-
go talentu, co go zabrakło. Ale
żeby całym sobą, całego siebie,
do zatracenia, do szaleństwa,
oddać dziełu, na to trzeba być
pijanym dzieckiem, na to trze-
ba być wariatem, zwierzęciem,
bogiem.

Takim był Chaim Soutine, ma-
ły żydowski gówniarz z Białorusi,
który do końca życia, nawet w Paryżu,
nawet sławny, wystawiany i kupo-
wany, pozostał małym żydowskim
gówniarzem wygnanym z Białorusi,
zasmakowanym, spitym do półprzy-
tomności, bez chustki i bez szacun-
ku dla czegokolwiek poza swoimi ob-
sesjami. Jak ja go rozumiem i jak
ja go kocham za ten brak chustki,
i jak ja mu zazdroścę tego wiecz-
nego strachu, który we mnie jest,
ale już tresowany i tylko czasami
grzyje kaganiec...

Było w nim coś z gestu Courbe-
ta, którego kiedyś zaprosiła na obiad
bogata i wpływała pani de Gréves.
Zaproszenie wieńczył dopisek: „Ale
proszę koniecznie przybyć w kołnier-
zyku”. Kiedy nadeszła pora obja-
du, w domu pani de Gréves zjawił
się goniec z paczuszką, w której re-
zydował nakrochmalony, śnieżnobia-
ły kołnierzyk z napisem wykonanym
tuszem: „Szanowna Pani! Pan Cour-
bet bardzo żałuje, lecz on i ja je-
stemy śmiertelnymi wrogami i ni-
gdyż razem nie chodzimy, wobec
czego przybyłem sam”.

No więc było w nim coś z tego, ale
kiedy teraz mam wyjawiać, co kon-
kretnie, to nie wiem, ja to po prostu
czuję. Może... może tylko to „razem
nie chodzimy”, bo po pierwsze Sou-
tine białego kołnierzyka nie miał i
nie dostrzegł, że coś takiego istnie-
je, a po drugie salonowa sztuka an-
tysalonowego dowcipowania była
mu obca, złożyłby umiał być tylko
wobec siebie. On by poszedł na ten
obiad, a jakże, poszedłby, ten ksią-
żę wiecznie przebrany za zebra, tak
jak chodził w spodniach, w podar-
tych butach, w śmierdzących gaciach
i z glutami jak dwie wielkie polne-
żyjskie perły w miejscu, gdzie dżen-
telmeni noszą „zabójcze wąski”.

Takiego opisała go Izabela Cza-
ka-Stachowicz w paryskim wspanie-
nieniu, którego lektura wstrząsne-
ła mną jak mało co w dwudziestym
drugim roku mego życia. Beczeć mi
się chciało, kiedy czytałem to po raz
pierwszy i po raz drugi, i po raz
trzeci.

Szli lewą stroną Montparnasse'u,
w kierunku dworca, i ona wstydziła
się, że widzą ją razem z tym po-
tworowatym synem krawca-lacia-
rza, z tym uswinionym i zmierzwi-
onym judajskim Quasimodo, a potem
wstąpił do bistro, gdzie znowu się
wstydziła, bo on zalał piwem, któ-
re mu postawiła, całą usmarkaną ge-
bę, zsyje i podarty sweater, a kiedy
kazala mu wytrzeć się chustką do
nosa, otworzył zdziwione oczy i wy-
szepiał:

— Excusez moi, pardon... wino-
wat... ja nie mam chustki do nosa.
I przez cały ten czas bełkotał —
Czajka to podkręca! — bełkotał
jak w malgines swym przedziwnym
białoruskim wolapikiem o szczeni-
ackiej miłości do Ryfki — córki pie-
karza w rodzinnej dziurze, i o tęsk-
nocie do jej zapachu, i o niemiaw-
ności do tego ojca, który nienawidził
syna łaciarsza za jego nędzę i uko-
chanie malowania.

— Ona... ona... Ryfka docz boulan-
ger chez nous in unsere Dorf, Ah,
comme elle est belle! Glaza u niej
kak... kak sliwki, czudniejsze... nie
sowsiem kruglye... jej oczy imieję
piekarnik, il fait du pain... ona po-

magajet... i dlatego ona tak pachnie,
och, jak pachnie... najpiękniej na
świecie!... Jak u mienia budiet dien-
gi — jak zarobie — wenn ich ver-
diene ersten Geld... Vous savez...
munes — ich schicke von hier, von
Paris, drei Paar seidene Strumpfe
szkolowye... nastojaszczyje szoko-
wyje... Ona woniajet... kak wam eto
skazat? — les meilleurs parfums du
monde... chliebom... Ich habe ihr
gesagt — Ryfka ja tiebia lubili. Po-
nimajetie szto ja jej skazał?... Jej oj-
ciec? Jej ojciec zabronił jej nawet o
mnie myśleć. Wstyd mi nawet tobie
to mówić... On ja bił swoimi szelka-
mi... szmondrak — mówił — łobuz —
mówił — un chce się żenić z moją Ryfką?
Z córką najbardziej znanego i szano-
wanego piekarza? Jego rodzony oj-
ciec mówił: Stary Sutin wstydzi się
tego niewydarzonego syna — a ja
mam mu dać Ryfkę? — Un nie po-

ła, piękna panienka jesteś. Gdyby
ten król polski... jak mu tam było!...
ciebie zobaczył, to un by te Ester-
kie wykopał, a ciebie do zamku za-
brał... Tam u nich w kuchni... Oni
mają piękną kuchnię. Wiesz, ich
beczka na wodę to nie jest z kle-
pek... pardon... z drzewa... Una jest
niebieska emalowana, a nad nią wi-
si kwarta i nie z żadnej blachy tylko
biała emalowana... a 'kolo beczki
szeregami stoją Kùbelen, wladarki. A
mamusia Ryfki to jest szanowana
pani piekarsowa, ma na głowie naj-
ładniejszą perukę w całym miastecz-
ku... Równiutki, biały przedziałek.
Tylko oczy ma trochę jak kura...
martwiące się oczy... To Ryfka pla-
kała pod oknem z białą firanką, sta-



WALDEMAR
LYSIAK

WYGNANE DZIECI



trafi zarobić na trochę cebuli... Un
nie potrafi zarobić na bochenek
chleba — un nie chce pracować —
un nie potrafi zrobić żadnego inte-
resu... pacyker!... un umyslił sobie
malowanie?... A sjałne Gescheft! Ja
go za łeb wyrzucę jakby tu przy-
szedł do domu... Ja mu kiem po tym
skudlanym kbie... ja go gorącą wo-
dą... Ty mi nie śmij się z nim spo-
tykać, ja ciebie muszę dać za maź
i ja cie wydam jeszcze w tym roku.
Za kogo? Za kogo? A Abram Gold-
man? A Moryc Fajkenblut? A Sruł
Lipokower? Mało my to w miastecz-
ku mamy młodych, porządnych lu-
dzi? A ty, Bogu Najwyższemu chwa-

ła i płakała. Ja tylko powiedziałam...
Ich hab nur gesagt... Niczego, wy je-
szcze płakać będziecie ze wstydu...
von Schande... pochorujecie się, że-
ście wypędził Chaima Soutine'a... Ja
to im powiedziałem, temu całemu
tate i tej całej mamusi z równiutkim
przedziałkiem na peruce... i serce mi
się zlamalo jak się odwróciłem od
Ryfki, która stała o krok od nie-
bieskiej, emalowanej beczki — pod
te białe firanki...

Wypędził (i to już po raz drugi —
po raz pierwszy wypędzono go z
własnego domu) jak psa to zakocha-
ne dziecko i on odtąd już nie chciał
innej kobiety. Opisujący jego życie

i twórczość Raymond Cogniat z trud-
nością wyszukał kilka nazwisk —
chwłowych przypadków fizjologicz-
nych, modelek Paulette Jourdain,
Polkę Deborah Melnik, Gerde Groth
zwaną Mademoiselle Garde i w koń-
cu Marie-Berthe Aurenche, asystują-
cą agonii jego drogi.

Przez całe życie ten szczipły, bła-
dy dzieciak o nerwowych dionach i
gorejących oczach w napuchniętej
twarzy będzie uciekał z domu wia-
nego i domu piekarza drogą do od-
wetu w sławie, ze złamanym sercem
i z marzeniem, że oni tam, na dale-
kiej Białorusi, pochorują się von
Schande. Ale jeśli nawet dopadło ich
cierpienie, to dopiero po roku 1922,
i nie wstyd, ale dolegliwość o wiele
cięższa — wściekłość na samych sie-
bie. Jeśli w ogóle usłyszeli, że w tym
roku amerykański multimilioner, dr
Barnes, kupił i zabrał do Filadelfii
prawie cały dorobek Soutine'a, około
stu piócen! Soutine stał się sław-
nym Soutinem i chociaż nie prze-
stał być wygnanym dzieckiem — po-
raz pierwszy w życiu miał pieni-
dze. Mune si! Zrobił swój wielki Ge-
scheft i zagarnął ersten Geld i był
bogaty, chociaż nie przestał być za-
smakany gówniarzem. Był zawsze
taki sam.

Ryfka w tym czasie nie była już
taka sama. Z pewnością była szano-
waną żoną Abrama Goldmana lub
Moryca Fajkenbluta i nie pachniała
już pieczywem, lecz równym prze-
działkiem na peruce. Byłby się do-
gdyby postugiwał się logiką,
ale odległość i czas idealizują. On
był tym jedynym człowiekiem na
świecie, dla którego jej zapach nie
zmienił się nigdy. Głodując kochał
kobietę w zapachu les meilleurs pa-
rums du monde, we wspomnieniu o
parującym cieple chleba za zastawą
białych firanek oddziałających po-
żądanie od spełnienia — gdzie jest
przykład bardziej obsesyjnego uczu-
cia.

To wieczne, ciężące jak kamień na
sercu wspomnienie, było największą
obsesją Soutine'a i dlatego musiało
znieść się na płótnie...

Soutine był malarzem wyłącznie
własnych obsesji. Właśnie w ten
sposób oddawał płótnu nie farbę,
kompozycję, barwę, lecz siebie same-
go, dokonywał samowypatroszenia i
zachłapywał płótno wnętrzościami
swej jaźni, swej rozkojarzonej pod-
świadomości. W korespondencji z
wystawy dzieł Soutine'a w muzeum
Orangerie (1973) Barbara Majewska
napisała słusznie, że to jest „jakby
bezpośrednia transformacja życia w
malarstwo, danię z siebie tak total-
ne, kropla po kropli, że tego ani
wysławiać właściwie nie można, ani
żadnemu innemu artyście zalecać,
ani stawiać za przykład. Takie malo-
wanie jest niewątpliwie procederem
samobójczym...”

Jeśli chciałoby się z czymś poró-
wać Soutine'owski akt tworzenia, to
chyba ze skomplikowanym porodem,
z cesarskim ciecieniem, gdy krew bry-
ga na białe kafie ścian, albo z gwał-
tem dokonanym na kobiecie w spo-
sób skokowe brutalny, potwornie
bolesny, masakrującym bardziej
gwałcącego niż ofiarę. Za każdym
razem czynił Soutine taką szkarłatną
danię z samego siebie i w toku te-
go całopalenia rodziła się magia, któ-
ra jest esencją sztuki. I za każdym
razem zostawało w nim mniej sił i
mniej czasu.

Między dwoma kolejnymi obraza-
mi Soutine'a istniała pustynia, okres
impotencji, czasem bardzo długi,
kiedy nie był zdolny do malowania,
więcej, do wzięcia pędzla do ręki,
do niczego prócz picia i wspomi-
niania Ryfki. Jacques Lassaigne na-
zwał te Soutine'owskie przerwy „pe-
riodami kompletnej sterylności”. W
pewnym momencie takiego okresu,
gdzie z dna duszy wypęzła jakaś
kolejna obsesja wygnanego dziec-
ka i domagała się fotografii. Wraz z
nią pojawiał się paraliżujący strach,
którego on nie umiał przezwyciężyć
stopniowo. Musiał to zrobić naraz,
jak żołnierz w okopie, u którego
strach spiętł się, mocarnie i za-
mienia w katapultę wyrzucającą w
pole do rozpaczliwego ataku, zwane-
go później bohaterstwem.

Wtedy chwytał za pędzel i rzucał
się na płótno jak głodne zwierzę na
ofiara, jak zbłądził galerię na kobie-
cie, żeby zagłuszyć ten strach i na-
karmić tę wygucę w nim obsesję, z
gotowością zaiste tak drapieżną, iż
nie mógłby się równać z nim za-
den z „les fauves”, a to przecież zna-
czy: **dzikie bestie**.

(c.d.n.)

po inne dzieci, jak razem z nimi są wychodzą.
On zostaje, więc nie lubi tej soboty najbardziej
ze wszystkich dni tygodnia.

Każde z dzieci marzy o tym, że rodzice za-
bierają je do domu, każde, prawie każde twierdzi,
że jest tu tylko na pewien czas. (Te marzenia
spełniają się rzadko.)

Dlaczego dzieci te nie mają prawdziwego domu?
Przecież nawet malkontenci muszą stwierdzić,
że samotna matka, jeśli tylko jest zdrowa, może
wychować nawet liczną gromadkę, bo oko-
wolić by rzec o trudnościach ekonomicznych,
związanych z utrzymaniem rodziny, trzeba
obiektywnie przyznać, że świadczenia opieki
społecznej pozwalają zapewnić dzieciom przy-
zwoite warunki utrzymania. Tylko w ciągu pół
roku na terenie Nowej Huty wyliczono i najlicz-
niejszym rodzinom około 2,5 miliona zł. A nie
jest to jedyne źródło pomocy. Problem więc tkwi
nie w trudnościach materialnych, są one raczej
pretekstem dla tych, którzy chcą się pozbyć
dziecka w domu i przerzucić ciężar jego wycho-
wania na państwo.

Cóż, nawet od matki nie wyegzekwuje się
miłości potrzebnej jej własnemu dziecku. Lepiej,
by oddała malca do Domu Dziecka, niżby miała
go zaniedbywać, czy też się nad nim znęcać.
Wymusić można jedynie przyzwyczajenie zapłatę za
jego utrzymanie. Bo dotychczas rodziców obcia-
za się śmieśniami małymi kwotami, często rzędu
kilkuset złotych miesięcznie.

Wychowawcy twierdzą, że dzieci mogą łatwiej
odnaleźć atmosferę domową w rodzinnych do-
mach dziecka, czy w rodzinach zastępczych, niż
w dużych, gwarmszych placówkach opiekuńczych.
Nie wiemy więc dlaczego opieszale przebiega or-
ganizowanie takich form opieki, służniszenie
także z ekonomicznych względów. Utrzymanie
dziecka w rodzinie zastępczej, gdzie nie ma eta-
tów dla wychowawców, kucharek, służby me-
dycznej, kierownictwa, jest znacznie tańsze niż
w dużym domu dziecka. Tańsze i efektywniejsze
wychowawczo. Bo mały, rodzinny dom
dziecka stwarza większą szansę na wytworzenie
rodzinnej więzi i miłości.

KRYSTYNA ROŻNOWSKA

ALEKSANDER KRAWCZUK



CEMENTARZ RAKOWICKI — PROBA PRZEWODNIKA

Dom przy ulicy Wielopole 4 mi-
ja my dziś obojętnie, nikt nie zwraca
nań uwagi. Znajduje się tuż za
Pocztą Główną, nieco cofnięty, na-
przeciw Pałacu Prasy, a zajmują go
obecnie Zakłady Poligraficzne, któ-
rych samochody stoją przed nim, za-
pewne w dawnym ogrodzie. A
przecież przed I wojną, w okresie
Młodej Polski, stanowił on jedyny
w swoim rodzaju salon artystyczny
Krakowa, stale uświetniany odwie-
dzinami najwybitniejszych twórców;
co było przede wszystkim zasługą
jego pani, Elizy Pareńskiej. Dwie
córki tej rodziny, Zosię i Marynę,
znamy dzięki „Weselu” wszyscy;
pierwszej z nich towarzyszy w dra-
macie Poeta, drugiej zaś Dzienni-
karz. A ojciec ich, mąż Elizy, Stani-
sław Pareński, należał przez kilka-
dziesiąt lat, aż do swej tragicznej
śmierci w czerwcu r. 1913, do naj-
bardziej cenionych lekarzy w Kra-
kowie.

Tutaj przyszedł na świat w r. 1843, tu-
taj uczęszczał do gimnazjum św. An-
ny (obecnie Nowodworskiego), tutaj
wreszcie rozpoczął studia w r. 1862 na
Wydziale Lekarskim UJ. Jak większość

strzelnicy, Towarzystwo strzeleckie po-
żegnało swego członka honorowymi sa-
lami. Nad grobem zaś zabrał głos tylko
prezes „Przytuliska” weteranów r. 1863
Eustachy Chronowski jako reprezentant
trzech instytucji: Przytuliska, Wzajemnej
Pomocy i Delegacji Krakowskiej Wetera-
nów, składając mu wyrazy czci „nie dla-
tego, żeś porwany tą samą miłością Oj-
czyzny wstąpił w nasze nieszczęśliwe za-
stępny jako prosty szeregowiec, ale za to,
żeś całe życie mimo ciężkiej i tak bogatej
w skutki pracy zawodowej i społecznej
nie zapomniał o nas, żeś w tych szeregach

Tragiczna ta śmierć i wojna, która wy-
buchła w rok później, zadaly cios
światności domu przy ul. Wielopole 4,
w ciągu następnych dziesięciu lat trzy-
krotnie okrywała rodzinę żałoba. Pani
Eliza odeszła pierwsza po mężu, 24 lutego
1918 (ur. 1857). Tadeusz Boy-Zeleński, któ-
ry znał ją świetnie, darzył wielkim uczu-
ciem i został, jako mąż Zosi, jej zięciem,
tak ją sportretował: „Osiwiała bardzo
wczesnie, pudrowała włosy białe, co da-
wało jej kształtnej głowie charakter osie-
mnastowiecznej markizy. Z wiecznie mło-
dą figurą, prostą, a wytwornie ubraną,
miała w życiu ówczesnego Krakowa swoją
odrębną fiziozomję, swoją jakby „udziel-
ność”; salon jej był bardzo realną siłą
Równego usposobienia, zawsze pogodna
oddychająca jakimś koczującym
optymizmem, nie uznająca przeszkód i
trudności, działała ożywczo na wszystkich,
którzy się z nią stykali”.

Wspomina dalej Boy-Zeleński: „Był to
bodaż pierwszy w Krakowie dom, który
zaczął kupować obrazy, i to z rozmachem
zdomnym zaniepokoił ludzi poważnie my-
ślących. Poważnie też ostrzegano męża,

Eliza i Stanisław PAREŃSCY

kolegów wziął udział w powstaniu stycz-
niowym, walcząc pod rozkazami kapitana
Mossakowskiego. Udało mu się powrócić
zdrowo i cało. W r. 1868 otrzymał tytuł
doktora wszech nauk lekarskich, w r. 1870
doktora chirurgii, w następnym zaś w
Wiedniu magistra położnictwa. Habilito-
wał się w r. 1872 z zakresu chorób wew-
nętrnych, a była to pierwsza taka habili-
tacja w dziejach krakowskiego Wydziału
Lekarskiego. W latach 1870—75 pracował
z przerwami na różnych stanowiskach w
tutejszych szpitalach, a od r. 1875 aż do
śmierci, czyli przez lat 38, był prymariu-
szem szpitala św. Łazarza. Wykładał na
Wydziale Lekarskim najpierw jako docent,
a od r. 1884 jako profesor nadzwyczajny
patologii i chorób wewnętrznych. Praco-
wał też z wielką ofiarnością społecznie,
zwłaszcza jako członek od r. 1881 Rady
Miejskiej. Zginął tragicznie w Szczakowej,
gdysiędnąc do chorego wyskoczył nie-
szczęśliwie z pociągu.

Sławny krakowski kalendarz Czecha na
r. 1914 tak go charakteryzuje w dziale
„Kroniki żałobnej”: „Wypady jego
gromadziły liczną młodzież lekarską, która
ceniła nie tylko jego wiedzę i doświadczenie
znakomitego profesora, ale otaczała go
rzetelnym przywiązaniem jako prawdzi-
wego opiekuna, przyjaciela i najlepszego
człowieka. Nazwisko prof. Pareńskiego
jako najznakomitszego lekarza internisty
znane było wszędzie na ziemiach polskich.
Wzywany był na konsylia w różne bliskie
i dalekie strony. Stanał też w tym zakre-
sie do pracy obywatelskiej. Starał się rów-
nież o podniesienie krajowych zdrojowisk
i uzdrowisk. Wdzięcznie za tę pracę Pol-
skie Towarzystwo Balneologiczne wybrało
go swym prezesem w r. 1910. Powołany
został do komisji sanitarnej, a obywatel-
stwo powierzyło mu w r. 1881 mandat do
Rady miasta, którą to godność piastował
bez przerwy aż do zgonu. Położył niespo-
żyte zasługi w dziedzinie zdrowia public-
znego i dobroczynności publicznej... Kole-
gami z pola walki zajmował się zawsze.
Jako prezes krakowskiej delegacji uczest-
ników powstania 1863 r. starał się o za-
pełnienie im środków do życia. W tydzień
przed śmiercią przemawiał jeszcze przy
odświeżeniu na cmentarzu pomnika dla
poległych 1848 r.”.

Ostatnia mowa Pareńskiego jako radne-
go, wygłoszona w dniu 10 czerwca była
w istocie programem działania dla za-
rządu miasta. Postulował w niej założenie:
zakładu wychowawczego dla bezdomnych
chłopców wraz z oddziałem poprawczym
dla nieletnich przestępców; zakładu wy-
chowawczego dla nieletnich dziewcząt;
żłobka dla niemowląt; zakładu dla sierot,
chłopców i dziewcząt, umysłowo upośle-
dzonych; urzędów kolonii leśnych dla
sierot będących na utrzymaniu gminy i
niepomagających na zdrowiu.

Pogrzeb Pareńskiego miał charakter
manifestacyjny. Trumne wystawiono w
kościółce św. Łazarza, gdzie stanęli też we-
terani r. 1863 ze sztabem, mowy zaś
wygłoszono po wyniesieniu trumny na ul.
Kopernika, wypełnioną tłumem. Zęgał
zmarłego ówczesny rektor Uniwersytetu
prof. Zoll (młodszy), imieniem Wydziału
Lekarskiego i Towarzystw Lekarskich
prof. Julian Nowak, imieniem zaś Rady m.
Krakowa dr E. Bandrowski. Potem kon-
dukt udał się w kierunku cmentarza, a
„gdysię przechodził ulicą Strzelecką obok

czy nie należałoby rozciągnąć kurateli
nad lekkoomyślnością i marnotrawną osobą,
która zamiast rywalizować z kumoszkami
na bieżnię, pokrywała ściany najpięk-
niejszymi pastelami (żeby choć olejnej!)
Wyspiańskiego”.

I tak zrodziła się w Krakowie moda na
obrazy, właśnie skutkiem manii pani Li-
zy, co z kolei pozwoliło artystom stłocz-
nym w tym małym, biednym mieście żyć
i tworzyć. A wszyscy oni spotykali się w
domu Pareńskich lub w ich willi w Ten-
czynku. „Gdyby ktoś w skrócie i z lekce-
ważeniem chronologii sportretował salon
pani Lizy, byłby to piękny dokument. Sto-
lik wintu, do którego siadają Jacek Ma-
lczewski, Asnyk, Wyczołkowski, Stanisław-
ski, Feliks Jasieński. Kibicuje Władysław
Zeleński, zatykając sobie uszy, bo właśnie
Przybyszewski genialnie znęca się nad
uspaniałym Bechsteinem. Opodal dyspu-
tuje Sewer z Arturem Górskim i z Rey-
montem, Rydel i Starzewski przekomarza-
ją się z panienkami, a Wyspiański przy-
słuchuje się, roztrągnięty na pozór, ale
utrwalający każde słowo, a zwłaszcza
każdy ton. I tu jeszcze innych: Trzciń-
ski, Frycz, Sichulski, Wojtkiewicz, Lesz-
czyński, Szczepkowski...”

Gdyby ktoś zechciał kiedyś stworzyć
poważny i zgodny z historią obraz Krako-
wa tamtych lat, tamtych dni, winien by —
w serialu filmowym czy też telewizyj-
nym — odmalować dom Pareńskich i losy
tej rodziny w scenach pierwszoplanowych
Bo pani Dulska, przypomnijmy gwoli
prawdzie, nie w Krakowie mieszkała, choć
chciano nam to wmówić!

Pierwsza wojna, jak się rzekło, zburszy-
ła świat mieszkanców tego domu. Praw-
ie dokładnie w rok po matce, śmierć
zabrała jednego syna Pareńskich (pierw-
szy, Adam, zmarł jako dziecko); był nim
Jan, urodzony w r. 1889. Tablica na gro-
bie mówi, że jako „porucznik obserwator
eskadry lotniczej zginął śmiercią bohatera
w czasie lotu nad nieprzyjacielem 16.
2. 1919”. Najmłodszą córką Pareńskich, no-
szącą imię matki, a więc Eliza, żona poety
Edwarda Leszczyńskiego, zmarła wkrótce
po przedwczesnej śmierci męża licząc za-
ledwie 40 lat w r. 1923. Ci wszyscy spo-
czywają w grobowcu rodzinnym na cmen-
tarzu Rakowickim. Natomiast Maryna, żo-
na Jana Greka, profesora medycyny w uni-
wersytecie lwowskim, została rozstrzelana
w r. 1941, gdy tylko wkroczyli tam Niem-
cy; zginął wtedy także Tadeusz Boy-Zeleń-
ski, mąż Zosi, która zmarła już po wojnie
w Warszawie.

Grobowie Pareńskich łatwo od-
naleźć. Idąc główną alejką trzeba
skręcić za kaplicą w drugą alejkę w
prawo, pomiędzy grobowcami Gres-
sów i Golemberskich. Po kilkudziesię-
ciu krokach alejka rozwidła się —
i tam właśnie, jakby w klinie, stoi
ów grobowiec. Zdobi jego lewą ścia-
nę płaskorzeźba przedstawiająca Pa-
reńskiego w postaci leżącej.

prócz miłości

opuścić Dom Dziecka nie wychodzą stąd z ni-
czym. Z 16 wychowanków, którzy od 1976 ro-
ku usamodzielnił się aż 15 otrzymało wia-
se mieszkanki, głównie dzięki zakładom pracy.
Czyż każdy z rodziców jest dzisiaj w stanie za-
pewnić mieszkanie swemu dziecku?

W Domu Dziecka jest więc — jak lojalnie
przynajmniej wychowankowie — nie gorzej niż w
domu rodzinnym. Nie wspominać już o tych
strasznych rodzinach, w których alkohol, awan-
tury i bójki zamiennie dom w piekło. Cóż więc
się kryje w dziecięcych pragnieniach wycho-
wanków Domu Dziecka?

NIE ZASTĄPIĄ IM RODZICÓW

„Widziałam kiedyś jak matka zostawiła u nas
swojego pięcioletniego syna, a on na kłęczkach
błagał ją, by zabrała go z sobą — wspomina
jedna z wychowawczyń WANDA GONDEK —
ta kobieta była obojętna na prośby i ani nie
drgnęła jej twarz. Odwróciła się i wyszła”.

Dzieci prawie nigdy nie oskarżają swych
rodziców, a raczej ich usprawiedliwiają. Gdy
spytałam małą Ciganę, dlaczego jest w Domu
Dziecka, z uśmiechem odparła, że mama ma za-
dużo dzieci i ona musiała tu zamieszkać. Roz-
stawiła palce, by policzyć swe rodzeństwo, lecz
nie mogła się doliczyć, więc machnęła ręką.
„Dużo dzieci i tyle” — zakończyła i dla niej był
to wystarczający argument. Na pytanie, czy
chce wrócić do domu, wykrzyknęła: „No pewno!”

Czy wychowawca, mający przecież własne
prywatne życie, jest w ogóle w stanie zastąpić
tym dzieciom rodziców? Niewatka to rola i nie
każdy może ją spełnić. Świadczy o tym choćby
fakt, że w ciągu 6 ubiegłych lat przez pla-
cówkę te zatrudniającą 14 wychowawców
przewinęło się 29 osób, zajmując na dłuższy czy
krótszy czas stanowisko wychowawcy. Czterech
poszło na emeryturę. Te zmiany na pewno nie
pomagają w utrzymaniu emocjonalnej więzi

z dziećmi, bo jeśli komuś z wychowawców uda-
ło się zadziwić taką wiec, zerwał ją odcho-
dząc. A brak stabilizacji jest dla tych dzieci
szczególnie dotkliwy. Dwudziestolatek wychowa-
ny w Domu Dziecka od najmłodszych lat, po-
wiedziat mi, że dla niego najbardziej przykre
było to, iż z powodu choroby musiał tak często
wyjeżdżać do sanatorium. On nie lubił opuszczać
swojego pokoju, nie znosił żadnych zmian.

Trudno dać dziecku miłość, zwłaszcza kiedy
nie umie jej przyjąć. A te dzieci nie umieją,
a może nawet nie chcą odzwierciedlać uczuć. „Po
16 latach pracy wychowawczej w Domu
Dziecka jestem trochę rozgoryczona — zwierza
się Wanda Gonddek — bo chociażby się chciało
tym dzieciom nieba przychylić nie okazał wdzie-
czności. Zresztą nie o wdzięczność tu chodzi ale
o serdeczność. Ich z nami nie nie łączą, prze-
męca te lata i chyba potem chcą zapomnieć, że
w ogóle musieli tu być. Ja jestem bardzo przy-
wiązana do swojej grupy, a kiedy zapytałam
„moje dzieci” które z nich chciałyby wrócić do
domu, wszystkie się zgłosiły. Wszystkie, choć ich
domy są przecież straszne. Nie potrafią oskarżać
rodziców i pozbyć się do nich miłości, a swój
żał kierują w naszą stronę, jakby miały preten-
sje o to, że Dom Dziecka istnieje i że muszą w
nim być”.

MAMA WEŹMIE MNIE DO DOMU

— Którego dnia najbardziej nie lubisz? —
spytałam Staszka, 10-letniego wychowanka
Domu Dziecka urodzonego w podkrakowskiej
wsi.

— Soboty. — odpowiedział bez wahania.
Nie lubi soboty, bo w tym dniu — jak wyja-
śniła jego wychowawczyni — matka nie zabiera
go do domu, chociaż on tak bardzo na nią cze-
ka. I musi patrzeć jak inni rodzice przychodzą

W dniu 2 grudnia 1926 r. Sąd Okręgowy w Bydgoszczy obradujący pod przewodnictwem sędziego Radiowskiego skazał ks. Stanisława Zawadzkiego, proboszcza parafii Polskiego Kościoła Narodowego na 2 miesiące i 12 dni więzienia, ponieważ — jak czytamy w uzasadnieniu wyroku — w swych kazaniach głosił, że „Kościół katolicki nie stosuje się do Ewangelii i Pisma św., że duchowieństwo rzymskokatolickie nie wykonuje swych obowiązków sumiennie, nie głosi prawdy”. Oskarżony — czytamy dalej — zakwestionował także dogmat nieomylności papieża) oraz zaprzeczał istnieniu szatana i kary wiecznej.

Wyrok sądu bydgoskiego stał się sensacją dnia w kraju i za granicą, wywołując liczne komentarze.

W artykule opublikowanym na łamach „ROBOTNIKA” poseł K. Czapiński, komentując „sprawę bydgoską” zapytował:

„Co to znaczy? Czy obywateli nie wolno zaprzeczyć istnieniu szatana? Czy jest obowiązany — pod sankcją karną — wierzyć w diabła? Ale co sędziowie Rzeczypospolitej Polskiej chcą od szatana? Jaki artykuł kodeksu karnego karze za nieuznanie i krytykę diabła? Konstytucja w art. III poręcza wolność sumienia. Tymczasem sędziowie skazują ks. Zawadzkiego na więzienie za to, że osmielił się buntować przeciwko szatanowi!”

Uzupełniając wypowiedź posła Czapińskiego, można dodać że Konstytucja (z 17.12.1921) poręczała obywatelom także swobodę wyrażania swych myśli i przekonań, ale...

W odrodzonej Polsce obowiązywały nadal (aż do 1932 r.) kodeksy karne odziedziczone po zaborcach. I tak na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego obowiązywał kodeks karny rosyjski z 1903 r., w b. zaborze austriackim — ustawa karna austriacka z 1852 r. (przewidyująca m. in. rok więzienia za „szerzenie niedowiarstwa”), a na terenie dawnego zaboru pruskiego — kodeks karny Rzeszy Niemieckiej z 1871 r. Zawarte w nich przepisy o „przestępstwach przeciw religii” mimo iż sprzeczne z Konstytucją — miały ciągle moc obowiązującą. Na ich też podstawie sądy, znajdujące się pod silną presją Kościoła rzymskokatolickiego, wydawały liczne wyroki skazujące w sprawach o tzw. „bluźnierstwa”.

Czy procesy tego rodzaju były liczne? — Częstkowe badania przytoczone przez Michała T. Staszewskiego w jego szczegółowo udokumentowanej książce „WOLNOŚĆ SUMIENIA PRZED TRYBUNAŁEM II RZECZYPOSPOLITEJ” pozwoliły ustalić, że tylko w 1925 r. skazano prawomocnie za „przestępstwa religijne” 365 osób. Dla porównania autor przytacza dane z grupy tzw. „przestępstw powszechnie niebezpiecznych” i stwierdza, że „łącznie w 1925 r. za tego rodzaju czynny skazano grupowościami wyrokami 344 osoby”...

Ilość skazanych w przybliżeniu tylko określa liczbę procesów o „bluźnierstwa”, jako że czasami zapadali na nich wyroki niewinniające. Gdy np. okazało się, że oskarżenia były oparte na fałszywych zeznaniach świadków).

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

Gruntownie zmieniony został skład Egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej, Bolesław S., szef zakładowego ZMP, nie mógł wyliczyć się z finansów rozwiązanej co dopiero organizacji, dawni przywódcy związku zawodowego publicznie przyznawali się do popełnionych błędów. Przyznawali, ale nie wszyscy. — Zobaczymy jak długo będziecie rządzić — mówili z przekąsem ci, którzy musieli odejść. — My mamy czas, poczekamy aż przyjdzie dzień, kiedy wrócimy.

W ten powrót Buczyk nie wierzył — wierzył za to ponownie w istnienie sprawiedliwości. Z zakurzonych kopert wyjął dokumenty i zaświadczenia, a potem wziął się do pisanja. Napisał do Komisji Rehabilitacyjnej, działającej przy Komitecie Wojewódzkim PZPR w Krakowie. Prosił o partyjne członkostwo ialiczenie stażu od 1945 roku.

Komisja po kilku tygodniach, zajęła stanowisko w sprawie Buczyka. Buczyk otrzymał odpowiedni dokument. Przechowuje go do dzisiaj. Ponięty, podłożony starością druk z datą: 23.02.1957 r. Podpis, a wśród nich ten najważniejszy — podpis przewodniczącego, Bolesława Drobnera.

Komisja Rehabilitacyjna uznała, że wszystkie szyskany, które spotkały Mieczysława Buczyka, były wynikiem nieodrobionych praktyk okresu „błędów i wypaczeń”, polecając jednocześnie przyjęcie robotnika z „Sody” w szereg PZPR. Buczyk otrzymał partyjną legitymację...

ETAP IV

— Niedługo po październiku — mówi Buczyk — zaczął zetracać się program odnowy. Szybko, zbyt szybko, w mniejsze starych powstawały nowe kłaki, nowe powiązania. Szary członkowie partii, tacy choćby jak ja, którym nie w głowie były kariery, różne stanowiska i przywileje, coraz częściej byli zastraszani.

Początkowo Buczyk z zastraszania nie sobie nie robił. Gdy dyrekcja po jakimś czasie chciała „dokooptować” w skład Rady Zakładowej związkowców, którzy przepadli w wyborach — Buczyk mówił stanowczo nie. I znowu się nie podobał.

— Przypuszczałem — zwierzy się — że chodził za mną „wilecy bilet”. Czas się niby zmienił, ale stare dokumenty przecież zostały. Choćby te opinie z Brochowa, z Miłkowie. Gdybym wtedy, w 1956 i 1957 roku, ułożył się z kim trzeba, to wszystko byłoby dobrze. Ale ja układać się nie chciałem, a także chyba nie potrafiłem.

W tamtych latach modne były masówki. Ludzie przychodzili na nie chętnie, chętnie też dyskutowali, bo wierzyli, że od ich decyzji, jeżeli nie wszystko, to wiele zależy. W 1957 roku, jedna z masówek odbyła się także na Wydziale Mechanicznym Krakowskich Zakładów Sodowych.

Chodziło o listę kandydatów na radnych Dzielnicowej Rady Narodowej Kraków-Podgórze. Wśród kandydatów, znalazł się także Bolesław S., który popieszczenie rozwiązywał ZMP, aby później również szybko zakładać ZMS. Teraz Komitet Miejski tej nowej, młodzieżowej organizacji, wystawił kandydaturę Bolesława S. na radnego.

Masówkę prowadził I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. Kiedy przeczytał nazwisko „młodzieżowca”, Buczyk podniósł do góry rękę. Powiedział, że zdecydowanie protestuje przeciwko tej kandydaturze.

— Dlaczego? — zapytał zdenerwowany sekretarz. — Dlatego — odpowiedział Buczyk — że nie mam zaufania do towarzysza S. Nie rozliczył się z finansów ZMP, młodzież w zakładzie też towarzysza S. nie akceptuje i uważa go za typowego karierowicza.

Zawrządo. Nie tylko na masówce, ale także w POP. Jak niedobry sen wrócić, wydawałoby się, że już zapomniane, zarzuty o podrywanie autorytetu członków partii, o rozbijającej robocie, braku organizacyjnej dyscypliny.

Mieczysław Buczyk otrzymał partyjną karę nagany z ostrzeżeniem. Kiedy kara ta nie pomogła, kiedy Buczyk nie „zmądrzał” i dalej mówił to co myśli, przyszła kolejna kara, tym razem najsurowsza: wydalenie z szeregów PZPR.

Odwolywał się, a także. Najpierw do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, który decyzję POP utrzymał w mocy, później do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej. Bezsukcesznie. Z Warszawy przyszła decyzja ostatecznie zamykająca sprawę Mieczysława Buczyka. Nie cofnięto mu kary wydalenia.

W 1959 roku, po upływie kadencji, Mieczysław Buczyk, przestał być także sekretarzem Rady Zakładowej. W związkach zawodowych więcej działać nie chciał, bo uznał, że czas odnowy skończył się definitywnie. Tak jak przed październikiem, znowu był zwykłym szarym robotnikiem, którego wartość mierzy się tylko wykonaną przy maszynie pracę.

ETAP V

Kolejny życiowy zakręt, który Mieczysław Buczyk musiał pokonać, nie miał nic wspólnego z partią, ani ze związ-

Jednym z procesów, który — jak pisał prof. Henryk Świątkowski w książce „POLSKIE PRAWO WYZNANIOWE” — „wywołał nie-małe poruszenie w kręgach intelektualistów Europy”, był proces Tadeusza Szpotanńskiego, redaktora dziennika „NARÓD”. W procesie tym, wytoczonym w następstwie skargi Episkopatu przez Prokuraturę Warszawską, Szpotanński oskarżony został o przestępstwo polegające na tym, że w dzienniku „Naród” opublikował tłumaczenie znanej rozprawki włoskiego filozofa J. Papiniego pt. „PAMIĘTNIKI PANA BOGA”.

Sąd, oczywiście, powołał biegłego. Został nim... ks. H. Węglowicz z Seminarium Metropolitalnego w Warszawie. (Powoływanie duchownych katolickich jako biegłych było w tego rodzaju procesach nagminną praktyką). „Skandaliczny ten proces — pisała „TRYBUNA” (Nr 16 z 1921 r.) — wytoczony na żądanie Episkopatu przez Ministra Sprawiedliwości, Chrześcijańskiego Demokracę, p. Stas-

KARTKI Z DZIEJÓW II RZECZYPOSPOLITEJ (I)

PROCESY O „BLUŹNIERSTWO”

nistawa Nowodworskiego, odbija się głośnie-chem w całej Europie wywołując, rzecz zrozumiała, tysiące, upokarzających dla Polski komentarzy.”)

Nacisk opinii publicznej, interpelacja w Sejmie posła Czapińskiego, który porównując proces Szpotanńskiego do procesów średniowiecznych stwierdził, iż „prokuratura polska, sprawiedliwość polska i sądownictwo polskie stały się „pośmiewiskiem całego świata” — ostudziły inkwizycyjne zapęły sądu. Rozprawa była kilkakrotnie odroczana, aż wreszcie uległa umorzeniu... na podstawie amnestii. W roku 1932, w następstwie skargi biskupa łódzkiego, w stan oskarżenia został postawiony dr Zdzisław Mierzyński. Powód oskarżenia? — Opublikowanie książki pt. „JAK CZŁOWIEK STWORZYŁ BOGA”.

Rozprawa (przy drzwiach zamkniętych) odbyła się 8 czerwca 1932 r. w łódzkim Sądzie Okręgowym Dr Mierzyński (lat 71) skazany został na 3 miesiące więzienia w zawieszeniu. Sąd zarządził równocześnie konfiskatę książki. Zamiast komentarza do tego procesu, przypomnijmy, że art. 117 Konstytucji stwierdzał, iż badania naukowe i publikowanie ich wyników są wolne od ograniczeń. Jak widać, nie dotyczyło to religioznawstwa, nauki, która w tym czasie bujnie rozwijała się na Zachodzie.

Skoło już mowa o religioznawstwie... Mecenas Józef Litauer, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, opublikował w jednym

z czasopism pracę francuskiego religioznawcy, P. L. Chouchonda pt. „TAJEMNICA JEZUSA”. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał go za to na rok więzienia, a Sąd Apelacyjny wyrok zatwierdził. Sprawa oparła się o Sąd Najwyższy, który potwierdził wprawdzie zarzut oskarżenia, iż Litauer dopuścił się „bluźnierstwa” ale sprawę zwrócił Sądowi Apela-cyjnemu do ponownego rozpatrzenia. Ostatecznie, w dniu 17 VI 1939 r. zapadł wyrok skazujący Litauera na pół roku więzienia z zawieszaniem.

Przed procesem o „bluźnierstwo” nie chro-nił ani tytuł naukowy, ani światowe imię. I nie było rzeczą przypadkową, że „WIARA OŚWIECENYCH” Wł. Witwickiego, wybitnego uczonego ukazała się (w 1939 r.) za granicą w języku francuskim.

Działaczem, który wielokrotnie „gościł” na ławie oskarżonych był m. in. T. Wieniawa-Długoszewski, b. bojowiec PPS, prześladowany przez carat, więzień oślawionego X Pawła-

lonu, a po wojnie — redaktor i wydawca (konfiskowanych systematycznie) pism „WOLNOŚĆ” i „POLSKA WOLNOŚĆ”. Niezwykle „zainteresowanie” ze strony prokuratury skłoniły go swego czasu do wystosowania listu otwartego do marszałka Józefa Piłsudskiego, w którym zarzucał sądom, że wyroki za „bluźnierstwo” ferowane są pod wyraźnym „naciskiem kleru”.

W artykule pt. „Pokutnicze orędzie biskupów”, opublikowanym w łódzkim „KURIERZE WIECZORNYM”, Wieniawa-Długoszewski skrytykował orędzie biskupów, które zwywalał do jednodniowego postu w celu... zahamowania inflacji. Stwierdził też przy okazji, że skuteczniejszą pomocą dla budżetu państwa byłoby utworzenie pełnych bogactw skarbców kościelnych.

Konsekwencją artykułu była, złożona przez biskupa W. Tymienieckiego skarga o „bluźnierstwo” złożona w prokuraturze łódzkiej. O panującej naówczas atmosferze dobitnie świadczy fakt, że większość adwokatów, do których zwrócił się Wieniawa-Długoszewski odmówiła jego prośbie o podjęcie się obrony. Ostatecznie Sąd Okręgowy w Łodzi, wyrokiem z dnia 15 stycznia 1933 r. skazał Wieniawę-Długoszewskiego na 4 miesiące więzienia. Sąd Apelacyjny obniżył karę do 7 dni.

7 czerwca 1926 r. Sąd Okręgowy w Lublinie, opierając się jednostronnie na zeznaniach świadków oskarżenia, skazał Wieniawę-Du-

goszewskiego na miesiąc twierdzy za rzekome „bluźnierstwa” zawarte jakoby w wygłoszo-nym przezeń orędziu, w którym oskarżony zakwestionował dogmat grzechu pierworodnego.

Wreszcie 13 sierpnia 1930 r. za opublikowa-nie w wydawanym przez siebie piśmie artykułu B. Kupisa, krytykującego niektóre praktyki zakonne, Wieniawa-Długoszewski skazany został na 3 miesiące twierdzy.

Przestępstwem dla prokuratury krakowskiej był nawet artykuł krytykujący ideał za-odnowy religijnego pogrzebu górnikom — ofiarom katastrofy w kopalni, gdyż na ementa-riuz znalazły się czerwone sztandary.

Charakteryzując procesy religijne, poseł Józef Putek w przemówieniu sejmowym w dniu 10 marca 1925 r. mówił:

„Książka heretyka, polepiona przez biskupiego cenzora będzie przez państwo palona... Polska sprowadzona została... do roli egzeku-tora kościelnego. «Ramie świeckie»...będzie mieć swoje oparcie w konsystorz biskupim”.

Nie była to opinia przesadna. Polska okre-su międzywojennego była państwem wyznaniowym, w którym Kościół rzymsko-katolicki cieszył się uprzywilejowaną pozycją. Z zachowanych dokumentów wynika, że ów-czesne władze nie tylko podejmowały się roli „brachium saeculare”, o którym wspominał poseł Putek, ale — w tępieniu przejawów wolnej myśli same wykazywały wiele inicjaty-tywy. Charakterystyczna w tym względzie by-ła działalność Ministerstwa Wyznań Religij-nych i Oświecenia Publicznego, które wielo-krotnie żądało od Min. Sprawiedliwości i Min. Spraw Wewnętrznych ostrzejszych represji przeciwko pismom wolnomyślnickim. Przy-kładem może być poutne pismo podpisanie przez wiceministra ks. B. Zongolowicza i dyrektora departamentu hr. F. Potockiego do MSW i MS, z dnia 28 IV 1932 r., domagające się likwidacji pisma „WOLNOMYŚLIEL” za to, że przedrukowało odczyt wybitnego filozofa angielskiego B. Russela pt. „DLA-CZEGO NIE JESTEM CHRZESCIANINEM”.

Jak pisał M. T. Staszewski: „W piśmie Mi-nisterstwa zawarta jest teza, że podważanie doktryny Kościoła rzymskokatolickiego stano-wi przestępstwo. Naukowa polemika, krytycz-na analiza dogmatów religijnych uważana jest zatem za bluźnierstwo (...). Tak szeroka interpretacja przepisów kkr świadczyła o bar-dzo silnym oddziaływaniu kleru na aparat państwowy, była także bezasadnym wyrazem identyfikowania krytyki religii z działalnością przeciw państwu”.

WIESŁAW MERCIK

1) Za podważanie dogmatu o nieomylności pa-pieża wytoczono też proces „Chłopskiej Przys-łości”. 2) Nowy kodeks karny z 1932 r. utrzy-mał w większości postanowienia zaborskich ustaw karnych, 3) „Trybuna” miała szczególne: normalnie — pisma, które próbowały się bron-ić przed procesami o „bluźnierstwo” były kon-fiskowane, a nawet zawieszane, 4) Spośród in-nych procesów o „bluźnierstwo” można przy-pomnieć m. in. procesy: red. „Myśli” K. Miec-kowski (rok więzienia), red. „Życia Młodzie-ży”, P. Cybulskiego (rok więzienia), biskupa ma-riawickiego M. Kowalskiego za wydanie książki pt. „Nowy Testament” (rok więzienia) itd.

dnia 13 sierpnia 1965 roku, wskutek ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych (znajdowanie się w pracy w stanie nietrzeźwym, pobicie i obrażenie funkcyj-nariuszy Zakładowej Straży Przemysłowej).

Już po dyscyplinarnym rozwiązaniu stosunku pracy z Za-kładu Ekspertyz Sądowych nadeszły wyniki analizy krwi Mieczysława Buczyka. Do dzisiaj zachował się i ten dokum-ent, jednoznacznie stwierdzający, że wieczorem, 10 sier-pnia 1965 roku, kiedy to Buczyka przywieziono prosto z Krakowskich Zakładów Sodowych do Izby Wyrzecznień, pacjent był całkowicie trzeźwy.

Urządowe zaświadczenie oficjalnego Instytutu, już wów-czas, w 1965 roku, miało wartość jedynie historyczną i dla Buczyka zupełnie nieprzydatną. W trakcie bowiem rozpatry-wania licznych oświadczeń Buczyka od krzywdzącej go decyzji o dyscyplinarnym zwolnieniu, nie przejmowano się opinią Instytutu Ekspertyz Sądowych, nie uwzględniano również zwolnienia lekarskiego, wystawionego Buczykowi po stwierdzeniu obrażeń ciała, będących wynikiem pobicia przez strażników Straży Przemysłowej. Opierano się natomiast chętnie na zeznaniach tych ostatnich i przedstawicieli dy-rekcji Krakowskich Zakładów Sodowych, która raz na za-

wsze zamierzała się pożegnać z nadzwyczaj krnąbrnym pracownikiem. Buczyk chwycił się ostatniej deski ratunku. Napisał do Centralnej Rady Związków Zawodowych, prosząc o pomoc. Dołączył kopie dokumentów, licznych zaświadczeń. Nie chodziło mu już o pracę w „Sodzie” (w międzyczasie znalazł inne zatrudnienie) — chodziło mu tylko — jak mówi — o zwykłą, ludzką sprawiedliwość.

Z Warszawy nie nadeszła żadna odpowiedź.

— Oglądałem w telewizji relacje z Nadzwyczajnego Zjaz-du PZPR. Oglądałem i znowu wierzyłem, że u nas może być inaczej. Tyle się przy okazji nasłuchałem o nieprawo-sciach w państwie i w partii, zobaczyłem jak ta partia jest atakowana i doszedłem do wniosku, że nie wolno mi stać z boku. Zapomniałem o swoich urazach, o krzywdach, które mi wyrządzono. To co mnie spotkało i co spotkało innych, było możliwe tylko dlatego, że ludzie ucczowi dali się zakrzyżać, zastraszyć karierowiczom, których nigdy przecież nie brakowało. Postanowiłem wrócić mimo tych swoich prawie 70 lat...

Odczekał kilka tygodni. Potem siadł i napisał. Do Ko-misji Odwołań IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Napisał o tych swoich trudnych latach, szyskaniach i porażkach. Do-łączył zaświadczenia i opinie strażników przechowywane przez lata w domowej szafie. Na odpowiedź czekał kilka miesięcy. W końcu przyszła do Skawiny. Decyzję o wydaleniu Mieczysława Buczyka z szeregów PZPR Komisja Odwołań uznała za całkowicie bezasadną. Emerytowi przyznano wszystkie partyjne prawa, włączono mu także partyjną legitymację.

— Po co dziękować za legitymację, po co ten powrót? — pytał niektórzy Buczyka. — Po to, aby było sprawiedliwie — odpowiada bez sa- stanowienia. — Wierzy jeszcze towarzyszy w sprawiedliwość. Mimo tych przykrych doświadczeń, mimo doznanej krzywdy? — głosił się zastanawiam.

— Wierzę... — szczerze mówi emeryt...

EPILOG

Mieczysław Buczyk w krakowskim „Hydrokopie” (nowe jego miejsce pracy) doczekał emerytury. Zaczął żyć sobie cicho i spokojnie, nie myślał o żadnej rehabilitacji, o żadnej satysfakcji. Co było, to było i więcej nie wrócił. Nie poru-szył go gdański grudzień, nie poruszył czerwiec 1976 roku, nie poruszył nawet sierpień 1980 roku. Buczyk za dużo przeżył i za dużo doświadczył, by teraz znowu zawiądły nim niebezpieczne emocje. Przyszedł jednak rok 1981...

— Oglądałem w telewizji relacje z Nadzwyczajnego Zjaz-du PZPR. Oglądałem i znowu wierzyłem, że u nas może być inaczej. Tyle się przy okazji nasłuchałem o nieprawo-sciach w państwie i w partii, zobaczyłem jak ta partia jest atakowana i doszedłem do wniosku, że nie wolno mi stać z boku. Zapomniałem o swoich urazach, o krzywdach, które mi wyrządzono. To co mnie spotkało i co spotkało innych, było możliwe tylko dlatego, że ludzie ucczowi dali się zakrzyżać, zastraszyć karierowiczom, których nigdy przecież nie brakowało. Postanowiłem wrócić mimo tych swoich prawie 70 lat...

Odczekał kilka tygodni. Potem siadł i napisał. Do Ko-misji Odwołań IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Napisał o tych swoich trudnych latach, szyskaniach i porażkach. Do-łączył zaświadczenia i opinie strażników przechowywane przez lata w domowej szafie. Na odpowiedź czekał kilka miesięcy. W końcu przyszła do Skawiny. Decyzję o wydaleniu Mieczysława Buczyka z szeregów PZPR Komisja Odwołań uznała za całkowicie bezasadną. Emerytowi przyznano wszystkie partyjne prawa, włączono mu także partyjną legitymację.

— Po co dziękować za legitymację, po co ten powrót? — pytał niektórzy Buczyka. — Po to, aby było sprawiedliwie — odpowiada bez sa- stanowienia. — Wierzy jeszcze towarzyszy w sprawiedliwość. Mimo tych przykrych doświadczeń, mimo doznanej krzywdy? — głosił się zastanawiam.

— Wierzę... — szczerze mówi emeryt...

JANUSZ KANDEREK

Wszystkim, którzy wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych

lek. med. Mariana Wojciecha Gawlika

a szczególnie Zespołowi Opieki Zdrowotnej i Personelowi
Służby Zdrowia w Debicy — składamy serdeczne
podziękowanie

RODZINA

PRACA

PIEKARZY, sprzedawcę i uczniów zatrudni nowo otwartą piekarnia Andrzeja Stachury w Głogoczowie 473. g-88882

KUPNO

KUPIE maszynę do robienia waty cukrowej. Oferty 68571 „Prasa” Nowy Sącz, Narutowicza 6.

SPRZEDAŻ

ZASTAWĘ 1100p. jednoroczną — sprzedam. Tel. 23-20-11, wewn. 230.

LOKALE

POZNAN! Mieszkanie 3-pokojowe, 80 m², pełny komfort, 1 piętro, telefon, parkiet, w ładnej dzielnicy — zamienie na podobne w Krakowie. Oferty 68971 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

SUPERKOMFORTOWE M-2 zamienie na M-3, Maria Korba, Nowa Huta, os. Kościuszkowskie 6/891. g-88824

POSZUKUJE mieszkanie: pokój z kuchnią lub 2 pokoi, kuchnia (średniej wielkości) na 1 lub 3 lata. Dać lokalizację i czynsz. Oferty 68825 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

USŁUGI

PLITY betonowe chodnikowe, pustaki — połowid, wykonuje betoniarz Tadeusz Leska, Zabierzów, Kolejowa 48. g-88392

UKŁADANIE, cyklinowanie, lakierowanie parkietów, mozaik, z materiałów własnych (ceny konkurencyjne), powierzonej roboty sezonie znowelizuj jaty. Paciorek, Odrową 14/9 (przeznaczenia Wrocławskiej). Informacje: grzeźnościowy 22-63-96, godz. 12-14. g-88331

MUZEUM NARODOWE w Krakowie

zatrudni natychmiast

- WARTOWNIKÓW STRAŻY
- PORTIERÓW
- POMOCCNIKÓW MUZEALNYCH
- ELEKTRYKÓW
- SPRZĄTAWCÓW
- KSIĘGOWYCH
- TELEFONISTEK

— na stałe bądź sezonowo w pełnym lub niepełnym wymiarze godzin pracy

Informacji udzieli i zgłoszenia przyjmie Dział Kadr, Kraków, ul. Manifestu Lipcowego 12, tel. 22-75-92 K-9561

ROŻNE

ODSTAPIE duży warsztat samochodowy — okolice Krakowa. Oferty 68837 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

NIERUCHOMOŚCI

MAŁE gospodarstwo — sprzedam. Odpowiadam na listy. Oferty 68059 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

PARCELE 10-50 arów, uzbudowana z możliwością zabudowy, najchętniej w dzielnicy Podgórze lub bliskich okolicach Krakowa — zdecydowanie kupię. Oferty 68844 „Prasa” Kraków, Wiślna 2.

Uwaga ROLNICY!

W związku z wystąpieniem, w dużym nasileniu, letniego pokolenia stonki ziemniaczanej,

KRAKOWSKA STACJA KWARANTANNY i OCHRONY ROŚLIN

ZAŁECA

dalsze wykonywanie zabiegów chemicznych na plantacjach ziemniaków odmian późnych.

Przy tych zabiegach należy przestrzegać okresów karencji dla ludzi i prewencji dla pszczoł (dane te są podane na opakowaniach).

Opryski stonkobójcze można nadal zlecać przy pełnej odpłatności SKR-om lub wykonywać indywidualnie, zakupując środki w GS-ach.

K-5935

PP CUKROWNIĄ „ROPCZYCE” w Ropczycach

ogłasza przyjmowanie poda-

do pracy na stanowiskach:

- ◆ **WAGOWYCH** (wynagrodzenie od 5.000 zł do 5.600 zł)
- ◆ **PROCENTMISTRZÓW** (5.100—6.000 zł + dodatek funkcyjny od 7 do 1.200 zł)
- ◆ **KONTYSTEK** (od 4.200 do 4.800 zł)
- ◆ **ROBOTNIKÓW niewykwalifikowanych do terenowych punktów odbioru buraków ora w fabryce do obsługi urządzeń produkcyjnych — w okresie kampanii 1983/84.**

Pracownikom zatrudnionym przy skupie buraków oprócz wynagrodzenia — zależnego od wielkości skupu buraków w punkcie — przysługuje ryczałt za wydużony czas pracy oraz premia uznaniowa do 25 proc wynagrodzenia zasadniczego.

Pracownikom podejmującym pracę na terenie Cukrowni zapewnia się zakwaterowanie i wyżywienie z częściową odpłatnością.

Przewidywany termin rozpoczęcia kampanii: II połowa września.

Szczegółowych informacji udziela Dział Służby Pracowniczej, tel. 228, wewn. 255.

Podania należy składać w Cukrowni „Ropczyce” ul. Kolejowa 140. K-5741

PRZEDSIĘBIORSTWO REWALORYZACJI ZABYTKÓW w Krakowie

PRZYJMIE DO PRACY

na terenie miasta Krakowa

- MURARZY—TYNKARZY □ CIESLI □ POSADZKARZY—FLIZIARZY □ STOLARZY □ ROBOTNIKÓW budowlanych □ MONTERÓW wod.-kan. □ ELEKTROMONTERÓW □ BLACHARZY—DEKARZY □ KAMIENIARZY □ PALACZY kotłowych i maszynowych □ KIEROWCÓW—MECHANIKÓW samochodowych □ ROBOTNIKÓW gospodarczych □ SPRZĄTACZKI do hotelu pracowniczego

Ponadto ZATRUDNI:

- KIEROWNIKA budowy □ MISTRZA budowlanego □ MISTRZA robót malarzkich □ KIEROWNIKA Oddziału Produkcji Pomocniczej □ MISTRZA stolarni □ SPECJALISTĘ ds. kontroli gospodarki materiałowej □ KIEROWNIKA magazynu □ KIEROWNIKA komórki ekonomicznej □ SPECJALISTĘ ds. ekonomicznych □ SPECJALISTĘ ds. rozliczeń materiałowych □ SPECJALISTĘ ds. zaopatrzenia □ SPECJALISTĘ ds. przygotowania produkcji □ KIEROWNIKA Działu Produkcji □ KSIĘGOWĄ □ PROJEKTANTÓW budowlanych, wodno-sanitarnych, elektrycznych □ POMOCE techniczne □ KONSERWATORÓW dzieł sztuki po ASP o specjalności konserwacji kamienia oraz konserwacja drewna i polichromacji ściennych □ RENOWATORÓW drewna □ MASZYNISTKI biurowe

Przedsiębiorstwo oferuje atrakcyjne warunki socjalne. Dla zamieszkujących miejsca w hotelu pracowniczym.

Zgłoszenia przyjmuje Dział Służb Pracowniczych i Spraw Socjalnych — Kraków, ul. S. Bagockiego 1a (Biały Prądnik), tel. 33-18-63.

Dojazd autobusem linii „154” z Dworca Głównego lub Nowego Kleparza. K-5864

Lubimy kwiaty, chcemy mieć je w domu, cieszyć się ich pięknem. Róża i goździki dobrze wyglądają w wazonach z kolorowego szkła i kryształ, margerytki są śliczne w glinianych dzbankach, a mietczyki i lilie potrzebują wysokiach flakonów.

Co zrobić, aby cięte kwiaty jak najdłużej zachowywały świeżość?

— Kupując kwiaty, staramy się wybierać świeże i nie całkowicie jeszcze rozwinięte. Jeśli liście są pogięte i zwinięte, to znak, że kwiaty były już przechowywane.

— Jeśli sami zrywamy kwiaty na działce, pamiętajmy, aby robić to wczesnym rankiem lub wieczorem.

— Kwiaty po przyniesieniu do domu wymagają różnego traktowania, w zależności od gatunku.

— Łodygi róż przed wstawieniem do wody przycinamy ukośnie, aby miały jak największą powierzchnię wchłaniania. Wodę zmieniamy codziennie.

— Goździki przycinamy „za kolankiem”, usuwamy dolne liście, wstawiamy do letniej, odstanej wody. Wodę zmieniamy co 2-3 dni.

— Tulipany, przed włożeniem do wazonu, przez godzinę trzymamy w chłodnym miejscu zawinięte w papier i wstawione do naczynia z wodą.

— Gerbery zanurzamy głęboko w wodzie, za-

winięte w papier, na kilka godzin, dopiero potem przekładamy do flakonu.

— Chryzantemy i inne kwiaty o zdrewniałych łodygach przycinamy ukośnie i młodym ich końcem.

— Konwalle i frezje lubią miejsca nienastojące, nie wymagają zbyt częstej zmiany wody.

— Kwiaty z rodziny storczykowatych są na ogół bardzo trwałe, wodę zmieniamy co 4-5 dni, ale uważaj! Woda musi być odchłorowana (zwykle wodę z kranu odstawiamy na kilka godzin, dopiero wtedy przelewamy do wazonu).

— Kompozycje składające się z różnych gatunków kwiatów trzymają się bardzo dobrze, ale pod warunkiem, że wszystkie łodyżki będą zanurzone w wodzie.

Znamy wiele sposobów przedłużania życia ciętych kwiatów. Oto niektóre z nich:

— Różę na dwie minuty zanurzamy łodygi do wrzątku, albo przypalamy końce łodyg, następnie umieszczamy w słabym roztworze soli kuchennej lub chlorku wapnia.

— Goździki lubią, aby do wody dodać kwas borsy.

— Tulipany, astry, petunie, lisy, narcyzy, groszek pachnący, lwie paszce: do wody dodajemy odrobinę cukru.

— Daller: na chwilę zanurzamy łodyżki do gorącej wody, po czym wkładamy je do fla-

konu, dodając do wody aspirynę lub odrobinę alkoholu.

— Kamelle, gardenie: dodajemy do wody trochę soli.

— Margerytki zanim wstawimy je do wody, przez 2 minuty trzymamy w chłodnym naparze mietczy.

PAMIĘTAJMY, że cięte kwiaty wolą mniej nasłonecznione pomieszczenia, nie lubią przeciągów, ani przenoszenia z miejsca na miejsce. Kwiaty możemy przewozić nawet na duże odległości, jeśli ich łodyżki wetknijemy w miąższ zielonego ogórka.

JESZCZE KILKA CIEKAWYCH PRZEPISÓW zaczerpniętych ze znanej już Państwu książki kucharskiej Marii Monatowej. (Zakopane, 1909 rok)

OGÓRKI UKISZONE W CIĄGU DOBY: Zdrowe i zielone ogórki płuczemy w zimnej wodzie, obcinamy im z obu stron czubki, układamy szczególnie w dużym garnku, dodajemy ząbek czosnku, przykrywamy wiązka kopru, zalewamy trzema częściami dobrze osolonej letniej przegotowanej wody, a czwartą częścią barszczu żytniego. Stawiamy w ciepłym miejscu. W ciągu 24 godzin będą ukiszone i do jedzenia.

KAPUSTA UKISZONA W TRZECH DNIACH:

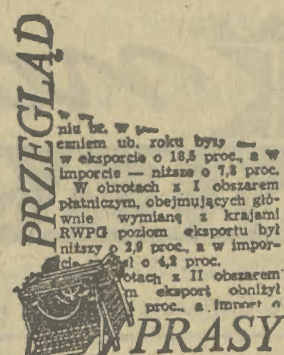
Chcąc mieć w lecie lub w jesieni kapustę świeżo ukiszoną do przelania, należy kilka główek skrać cienko nożem, posolić lekko, a po pół godzinie wycisnąć, aby gorzki odeszła, włożyć do garnka kamiennego, zalać wodą odcedzoną z gotowania ziemniaków, dodać kawałek razowego chleba i postawić w ciepłym miejscu.

PRZECHOWYWANIE DO WIOSNY ŚLIWEK

WĘGIERKI: W pogodny, suchy dzień zrywamy ostrożnie za ogonki śliwki z drzewa nie dotykając palcami owoców, aby z nich nie zetrzeć barwy, układamy wprost w kamienne garnki wyłożone liśćmi winogronowymi, śliwkowymi, albo wiśniowymi. Każdą warstwę przesympujemy grubo liśćmi, a po napełnieniu obwiązujemy pecherzem, a gdy ten wyschnie jeszcze grubym papierem i wstawiamy je w pionicy, zasypując ziemią i szczelnie ubij. Po wydobyciu ich w zimie będą tak świeże, jakby dopiero z drzewa zerwane.

Nie wypróbowałam jeszcze tych przepisów, jeśli ktoś z Państwa uczyni to i chce się podzielić swoją oceną, będę wdzięczna.

(LE)



POUFNE...

...to tytuł artykułu K. Kozłowskiego w nr. 32 TU i TERAZ. Autor zajął się tu sprawą wprawdzie nie całkiem nową, ale jakby zyskującą nowe rysy. Porusza bowiem problem tajemnic i kontrowersji. Powołując się także na dawne i (tak, taki) aktualne przykłady stosowania zakazu dostępu tzw. mas-mediów do wielu zebrań, posiedzeń etc. pisze: „Nadmierzona tajemność i nadmierna poufność życia politycznego degraduje i degeneruje społeczeństwo, które ma prawo wiedzieć jakie są zamierzenia i jakie postawy ludzi sprawujących władzę. Zbyt duża tajemność demoralizuje władzę. Natomiast zbyt duża jawność życia politycznego przemienia to życie czasem w teatr, czasem w cyrk, czasem w widowisko — po prostu niszczy skuteczność działania polityków. A to z kolei odbija się ujemnie na wszelkiego rodzaju procesach i sytuacjach. Międzynarodowy pokój można łatwiej ocalić wtedy, gdy zainteresowani panowie spotykają się między sobą na zupełnie tajemnych rozmowach, niż wtedy, gdy z publicznej estrady wygłaszają oni namietane przemówienia o interesach narodowych, ich zagrożeniach lub ich rewindykacjach”.

Nie zawsze to, co na pokaz bywa najlepsze...

CHYBIŁYM...

...PROJEKTEM nazywa W. A. Seroczyk — w nr. 33 WIEŚCI — pomysły ustawy o archiwach, zaproponowane przez samych archiwistów, a dotyczące obowiązków przekazywania archiwów państwowym zbiorów rękopiśmiennych, m. in. z muzeów. Zadaje więc pytania: „Co zostanie w Oddziale Rekopisów Muzeum Narodowego Oddziału Czartoryskich w Krakowie, ze zbiorów w Kórniku pod Poznaniem, z Biblioteki Łopacińskich w Lublinie, z krakowskiej Biblioteki Polskiej Akademii Nauk? Niewiele. Być może trochę korespondencji, parę dzieł pamiętników, autografów pisarzy polskich i obcych oraz prywatnych, na własny użytek spisanych diariuszy...”

Odpowiedź, udeziła oczywiście sam, wskazawszy, że kierownictwo archiwów, choć bardzo chcą się dobrze o interesujących je dokumentach, gdzie te zbiory pomieszczą, bo... brak im odpowiedniego lokum.

POPIERAJMY

...MAŁE wola (z nasłuchu) K. Zieliński za pośrednictwem nr. 33 VETA — rozmyślając smutnie nad losem (nie indywidualnym) drobnej wytwórczości: „W wyniku reorganizacji w 1975 dwa i pół tysiąca (wytwórni) zniknęło z naszej rynkowej palety. Były to małe i średnie zakłady przemysłu terenowego, przekazane do przemysłu klucowego i spółdzielczego. Bez żadnej przesady można stwierdzić, że skutki tej operacji odczuwamy w sposób przerywy do dziś. Były to głównie płacówki o profilu rynkowym, bo wrosły one w swój teren i znały jego potrzeby, bo była to często produkcja dobra i z tradycjami. Po czym dodaje: „PSUC JEST ŁATWIEJ NIŻ TWORZYĆ”.

Ba, żeby to była istotnie twórczość...

PO NAS

...CHOCBY POTOP zauważa w liście do redakcji PRZEBIEGU TECHNICZNEGO J. Bóm — snując, zaprawione gorzko, refleksje o ochronie środowiska: „Każdy z decydentów, dyrektorów zakładów wydobywczych, przetwórczych i innych, chodził do podstawówki, liceum czy technikum, był w wyższej uczelni studentem, ma tytuł zawodowy czy naukowy. Wszędzie tam, w tych szkołach i uczelniach słuchał, dyskutował o sprawach związanych z ochroną środowiska (...) Z efektów takiej edukacji i takiego jej stosowania w życiu jeden tylko można wysnuć wniosek, że uczyli się w szkołach i studiowali metodą „3-Z-2” tj. zapamiętać, zdać, zapomnieć! No, bo jakże zrozumieć trócieli powietrza, wód płynących i stojących jezior, a nawet Bałtyku, wyjąławszy z ziemi ornej i lasów (...) W ten sposób zostawiamy naszym potomkom taką pustynię, że będą nas przez wiele pokoleń przeklinać, uznawali nas za wykastelonych barbarzyńców”.

Wydaje się, że tylko barbarzyńcy!



Nr 23

KWIATY



Płyn do chłodzińcy

BORYGO

kupuj latem!

ELF NAUTIC

do łodzi motorowych

W przypadku płynu BORYGO można lansować to samo hasło, co w przypadku węgla — kupuj latem! Tego zdania jest szef zastępcy dyrektora do spraw handlowych przedsiębiorstwa CPN w Krakowie — JANUSZ ZIELIŃSKI. Dlatego właśnie obecnie na stacji CPN kierowane są stale dostawy: płynu do chłodzińcy BORYGO, w każdym z miast województwa wyznaczona została jedna stacja CPN, w której koncentruje się sprzedaż BORYGO. W Krakowie jest to stacja w Opatkowicach przy ul. Zakopiańskiej. W Nowym Sączu BORYGO jest dostępny w nowo uruchomionej stacji w Chelmnie, przy drodze wyjazdowej na Limanową. Natomiast w Tarnowie sprzedaż BORYGO prowadzona będzie dopiero od września na stacji benzynowej przy trasie E-22 od strony Krakowa. BORYGO KUPUJ LATEM, bo gdy nadejdą mrozy na pewno braknie tego płynu do chłodzińcy.

Przypomnę tylko, że wymiany tego płynu w chłodzińcy należy dokonać co 2 teoretycznie, a w praktyce co 3 lata jego przebiegania w chłodzińcy. Kto kupuje BORYGO na zapas, winien pamiętać, że nie wolno go wlewać do naczyn z blachy ocynkowanej lub blaszanych — płyn wchodzi w reakcję z metalem i traci swe właściwości. Najlepsze

do tego przechowywania są naczynia szklane.

ELF NAUTIC do łodzi motorowych

Lato w pełni i wielu właścicieli łodzi motorowych ma okazję do korzystania z nich. Dla nich właśnie uzyskałem informację, że firma ELF wytwarza także olej do silników łodzi motorowych o nazwie ELF NAUTIC. Można go stosować do silników dwusuwowych dużej mocy, do których wytwórca zaleca olej typu SUPER OUTBOARD. Mieszanka winna mieć skład zalecany przez producenta, ale dodaje się go do paliwa w proporcji 1:30, zaś tylko w okresie docierania 1:25. ELF NAUTIC nadaje się również do smarowania silników łodzi motorowych najnowszego typu, gdzie zalecany stosunek oleju do paliwa wynosi 1:100. UWAGA! ELF NAUTIC nie nadaje się do silników motocyklowych chłodzonych powietrzem.

Stosowanie tego oleju zapewnia łatwy rozruch silnika w każdych warunkach atmosferycznych. Pozostawia przy tym niki osady w silniku, przez co nie dopuszcza do występowania samozapłonu. Co najważniejsze zaś ELF NAUTIC stosowany latem chroni silnik przed korozją w okresie niewykorzystywania go do napędu łodzi jesienią i zimą. Litrowe opakowanie tego oleju kosztuje 2,40 zł i są one dostępne w stoisku motoryzacyjnym „PEWEX” w Krakowie przy ul. Czarnowiejskiej.



Rokrocznie we Frankfurcie nad Menem w RFN odbywa się w uroczystym tradycyjnym Salon Samochodowy, na którym znani producenci samochodów po- cztują sobie za zaszczyt przed- stawiać nowe modele pojazdów. Można przypuszczać, że i w tym roku właśnie we Frankfurcie pojawił się kolejny (po modelu „uno”) tegoroczna nowość firmy FIAT — „fiat regata” (na zdjęciu). W symbolicznej FIAT od- noszącej się do prototypów „re- gata” była określana jako „tre” po „zero”, czyli w produkcji „panda”, „uno”, który zachował swą prototypową nazwę, bo- wiem jego twórcy dąży, by był to rzeczywisty numer 1 w świat- kowym programie produkcyj- nym, jaką to pozycję miał do- tychczas jego poprzednik „fiat 127”; czynione są też usił- nia, by „fiat uno” otrzymał tytuł samochodu roku 1983, jak samochodem roku 1972 został model 127.

„Fiat regata” ma zastąpić w programie produkcyjnym FIAT-A model 131. Zresztą zachowa- niem został układ tego z powo- dzeniem od lat produkowanego pojazdu — silnik z przodu, na- pęd kół przednich, nadwozie z tradycyjnym bagażnikiem. Cie- kawie, że FIAT, który modelem 127 zapoczątkował produkcję samochodów ze ścigłą tylną czę- cią nadwozia później wycofał się z tej stylistyki pozostając wierny tradycyjnej linii. Tak więc w ciągu ostatnich lat zma- terializowały się fletowskie za- marzenia o odmianie modeli „ze- ro”, „uno” i „tre”. Brakuje mode- lu o prototypowym oznacze- niu „due”, który jednak powin- nen pojawić się na rynku nie później niż w przyszłym roku. Będzie nosić zapewne nazwę li- terową, a nie oznaczenie cyfro- we, jako że FIAT skończył z tego typu oznaczeniem.

KONFIDENT

Konfident szkodzi czasem najwięcej temu, kto wchodzi z nim w konfidencję.

REGUŁA I WYJĄTEK

Reguła bez wyjątku nie istnieje — jeżeli powyższe reguła nie jest

DRAMAT WŁADZY W RĘKACH

Zle, gdy nie wie lewica, co wyczynia prawica, ale gdy nie wie sama, co czyni — to już dramat.

JERZY

LESZCZYŃSKI

Fraszki

PRZYPARCI DO MURU

Małe izby budują, a potem są

przyparci do muru ze wszystkich stron.

ZŁE

Złe, gdy coś musi być ukryte, żeby mogło być przyzwolone.

BEZ CUDÓW

Wiara czyni cuda — ale nie wystarczy wytworzyć i wygłaskać cudów gospodarczych.

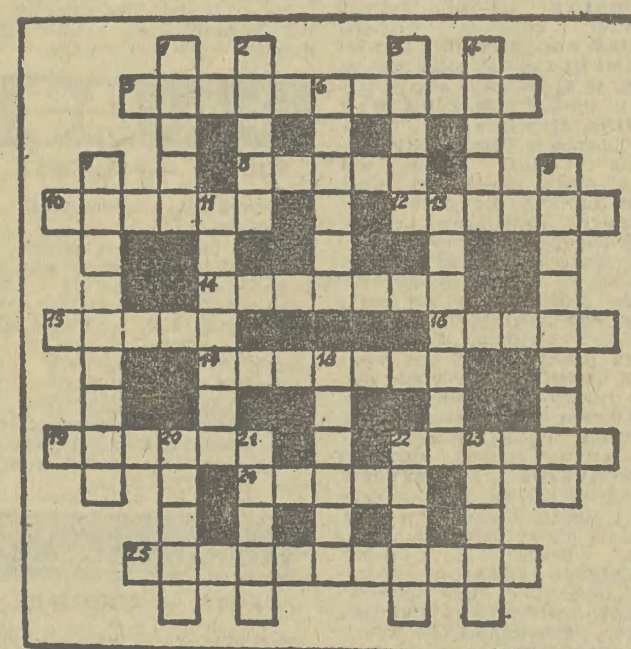
WIELEBĄD

I DZIEWCZYNA

Przedzie wielbłąd przejdzie przez igłone uszko — niż zgrabna dziewczyna nie przejdzie przez łóżko.

NA BÓL ZĘBA

Nie szukam, gdy ząb boli mnie, dentystki, która oczy rwie.



KRZYŻÓWKA NR 32

POZIOMO: 5. słowa naj- wy-szego zachwytu, pochwa-

ły, 8. tu w 1514 r. pod wodzą K. Ostrogskiego wojska na- sze odniosły zwycięstwo nad

wojskami moskiewskimi, 10. potrzebny alpinista, 12. chłopskie kłpina, demaskuje ośmieszając, 14. szczyry przyczyn, 15. święty ogień na ołtarzu bóstwa, 16. (mit. gr.) krew bogów, 17. w 1931-33 był premierem naszego rządu, w 1935 r. marszałkiem senatu, 19. apetyt na coś specjalnego, 22. nad świecą, 24. nie utrzyma sekretu, 25. wyznacza kierunek za pomo- cą namiarów gwiazd.

PIONOWO: 1. żółdłowe czełceki, 2. nie lubi egzor- cyzmów, 3. skazany przez Zeusa, dźwigat na barkach sklepienie niebieskie, 4. my i wszystko, co nas otacza, 6. piniwka z zacięciem węgry- nem, 7. XIX-czy historycy dzieł średniowiecznych, publicysta, literat („Szkice historyczne”, „Jadwiga i Ja- giello”), 9. miasto w Pozna- niu.

K-R-Z-Y-Ż-Ó-W-K-A

skiem na Wysoczyźnie Ka- liskiej, 11. mięso albo ryba w galarecie, 13. nad wszystkim w marynarce wojennej, 18. na dołone mleko, 20. urzędo- wo ustalona opłata, 21. do psa: „przynies”, „podaj”, 22. przenośnia: pierwszeństwo, pierwsze miejsce, zwycię- stwo, 23. założyciel państwa tureckiego.

Rozwiązania prosimy na- dyśleć do dnia 19.VIII.1983 r. (decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na ko- percie: „Krzyżówka nr. 32”. Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwią- zania redakcja rozlosuje na- grody w postaci 10 książek.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 30

POZIOMO: 5. Krzemieniec, 8. ruina, 10. Malaga, 12. li- ceum, 14. migawka, 15. Lin-

de, 16. bufon, 17. lędźwie, 19. akcent, 22. Saska, 24. radio, 25. zachownia.

PIONOWO: 1. gryka, 2. Fe- dra, 3. Indal, 4. jelec, 6. Illa- da, 7. barwicka, 9. buntow- nik, 11. Gamelin, 13. Izabela, 18. źródło, 20. Eliza, 21. tracz, 22. sosna, 23. serce.

NAGRODY WYLOSOWALI

za prawidłowe rozwiązanie zadań w krzyżówce nr. 30, z dnia 30/VI 1983 r. książki otrzymują: K. Opiola, L. Piątkiewicz, J. Szkaradek, Z. Furmańczyk — Kraków, S. Jakubowski — Nowy Sącz, A. Stachura — Wieliczka, G. Zyzkowska — Piwniczna, J. Szymaszek — Debica, M. Porebska — Skawina, D. Tu- rzańska — Przemyśl.

Nagrody zostaną wysłane pocztą.

dział wcześniejsze ustalenia poczynione m. in. przez biegłych.

Przed zakończeniem śledztwa podejrzany odwołał swoje przyznanie utrzymując, że został do niego zmuszony przez funkcjonariuszy MO. Także w trakcie toczącego się procesu M. T. konsekwentnie obstawał przy swojej niewinności twierdząc, że dziewczyna po- pełniła samobójstwo.

Istotne znaczenie miały opinie biegłych lekarzy psychiatrów, psychologa i seksuologa. Stwierdzono, że zachowanie dziewczyny, wyśmiewanie się z braku „męskości” M. T., obawa tego ostatniego przed środowiskową kompromitacją, mogły przyczynić się do spotęgowania agresji niedokładnej jednak do źródła zaistniałego konfliktu. W tym miejscu dopowiedzmy, że tragicznego wieczoru M. T., dziewczyna, jak i trze- ci uczestnik zjawiska znajdowali się pod wpływem al- koholu.

Sąd Wojewódzki w Krakowie, któremu przewodni- czył sędzia mgr Jan Sobolewski szczegółowo analiza- wał wszystkie dowody, szczegółowo badał wszystkie okoliczności zjawiska. M. T. skierowany został na do- datkowe badania psychiatryczne (kilkuiniesięczna obserwacja), wiele godzin poświęcono wysłuchaniu biegłych i świadków. Ostatecznie sąd uznał winę M. T. za udowodnioną i uziogłędniac wszystkie okolicz- ności łagodząc skazal M. T. na karę 15 lat pozbawienia wolności.

Wyrok nie jest prawomocny.

JANUSZ HAŃDEREK

Zderzenia

Seksualna sfera życia czło- wieka należy do najbardziej osobistych, intymnych. Lektura pism prowadzących poradę sek- sualną przekonuje, jak wiele problemów łączy się z inicy- acją, jak wiele pozornie szcze- śliwych małżeństw przeżywa owe intymne dramaty, jak cielec jeszcze wielu ludzi kie- rowanych fałszywym wstydem nie decyduje się na wizytę u lekarza-seksuologa. Zdarza się, że niepowodzenie seksualne le- żą u podstaw groźnych prze- stępstw, których sprawcy stoją przed sądem.

O tej sprawie, która ostatnio rozstrzygał Sąd Woje- wódzki w Krakowie, piszę tylko dlatego, że wydarzy- ła się tragedia największa: zginął człowiek. Z uwagi jednak na nietypowość dramatu, a przede wszystkim jego intymną sferę, czuję się w obowiązku zmienić niektóre szczegóły (w tym inicjały sprawcy) utrud- niające identyfikację człowieka, którego oskarżono o zabójstwo.

M. T. po zdaniu matury dwukrotnie usiłował uzy- skać indeks studenta Akademii Medycznej. Próby te, mimo pomyślnie zdanych egzaminów wstępnych, za- kończyły się niepowodzeniem. Zawsze zabrakło kilku punktów nieodpowiednich do zakwalifikowania się do grona studentów medycyny. M. T. w końcu zrezyg- nował i podjął naukę w pomaturalnej szkole medycz- nej.

Zamieszkał w internacie. Tu w specyficznym kli- macie młodzieńczej zażyłości równieśnicy podejrzawa- li M. T. o aberrację seksualną. Młody człowiek jakby chciał udowodnić, iż podejrzenia są bezasadne zwi- ązał się z dziewczyną zatrudnioną w bursie. Z czasem tych dwoje zaczęło uważać za narzeczeńską parę.

Były próby podjęcia współżycia, które jednak koń- czyły się niepowodzeniem. Słuchacz szkoły medycz- nej

zamiast szukać pomocy u lekarza specjalisty sta- wał bezradny wobec swoich problemów, liczył, że z czasem wszystko jakoś się ułoży. Były to nadzieje bezpodstawne.

Ten wieczór spędził we troje. M. T., jego dzie- wczyna i kolega z internatu. Pili alkohol, tańczyli. Po kilku godzinach doszło do nieporozumienia między M. T. i jego wybranką. Podpita pracownica bursy, nie kontrolująca chybą swoich słów zaczęła wyśmie- wać się z M.T. Określała go mianem impotentu, szy- dła z braku „męskości”. Słownym utarczkom przy- słuchiwał się kolega M. T.

Hipotetyczny przebieg dalszych wydarzeń odtworzo- no z dużym trudem. Nie ulegało wątpliwości tylko to,

że dziewczyna wypadła z IV piętra internatu i upa- dając na pokryte asfaltem boisko szkolne poniosła szereg obrażeń, które spowodowały jej natychmiasto- wy zgon.

Zatrzymano M. T. i jego kolegę, podejrzewając ich o przestępstwo porozumienie, które doprowadziło do pozbawienia życia dziewczyny. Obaj zatrzymani zde- cydowanie przeczyli jakoby mieli wyrzucić uczestnic- kę biesiady z IV piętra, w ich wyjaśnieniach było jednak wiele sprzeczności.

Toczące się śledztwo, zbierane w jego trakcie dowo- dy wykazywały samobójczy skok dziewczyny. M. in. jeden z mieszkalców internatu przypadkowo zobaczył wypadającą z okna klatki i natychmiast cofając się do wnętrza pokoju ręce sprawcy, w końcu kolega M. T. (współuczestnik tragicznego spotkania) zde- cydował się na powiedzenie prawdy. W jego relacji to właśnie M. T. wyrzucił dziewczynę z pokoju.

W trakcie jednego z przesłuchań M. T. przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Zarządzo- no wizję lokalną, w trakcie której podejrzany szcze- gółowo przedstawił przebieg zjawiska. Wizja potwier-

Nietypowe zabójstwo